Samuel ze Skrzypny Twardowski
i jego poezya na tle współczesnem.

(Ciąg dalszy).

Lecz nie od nich miał otrzymać pomoc.

Na Jerzym Zbarazkim wygasł starodawny ród, a majątki przeszły w ręce Wiśniowieckich, którzy w spadku dostali także i opiekę nad Twardowskim. Jakoż p. Samuel napisaną w tym czasie „Przeważną Legacyę“ [1]) zadedykował Januszowi Wiśniowieckiemu, krzemienieckiemu staroście, a już pod jesień 1633 r. jest w Wisniowcu. Lecz nie na gody zawitał w te strony. Nad moskiewską ścianą toczyła się wojna od dłuższego czasu, a Turcya korzystając ze sposobności, nie przeszkodziła Abazy-baszy wtargnąć w 100.000 wojska w granice Rzpltej. Na stepach Ukrainy stojące wojska koronne, wzmocnione posiłkami Wiśniowieckiego, stawiły opór. Wiódł je zakamieniały wróg półksiężyca, świeży zwycięzca z pod Sasowego Rogu, przyszły pogromca Kozaków, hetman wielki Stanisław Koniecpolski. Dnia 22. października 1633 r. pod Paniawcami rozbito w puch armię turecką. Pod chorągwią Wiśniowieckiego potykał się pewnie i p. Samuel.

Niedługo potem zakończyła się wojna moskiewska, Smoleńsk pozostał w polskich rękach, a Władysław IV. wielką się okrył

[1]) Wyszła raz pierwszy w Krakowie w 1633 r.

chwałą. Twardowski napisał i wydał z dedykacyą królowi w 1634 roku szesnaście wierszy opiewających „Szczęśliwą Moskiewską expedycyę“. Oddał w nich hołd i samemu królowi i hetmanowi Koniecpolskiemu, hołd nie zawsze w pięknej formie, czasem niedołężny nawet, czasem znów gorętszy, bardziej żywy i milej brzmiący. Pamięci potomnych przekazał także waleczność i niespożytą wytrwałość Jakuba Wojewódzkiego, [1]) który bronił i obronił Smoleńsk, aż poległ na wycieczce. Nawet mały piesek Wojewódzkiego, który na grobie pana życie z żalu zakończył, znalazł słowa [2]) współczucia i... nieśmiertelność dzięki muzie Twardowskiego. W ogóle rok 1634 dosyć był płodny. Oprócz wyżej wspomnianych tłumaczy z własnymi dodatkami przez krakowskie kolegium jezuickie na cześć Stanisława Koniecpolskiego z racyi jego wjazdu na kasztelanię krakowską napisany wiersz p. t. „Siradia Trabeata“, dalej opłakuje śmierć królewicza Aleksandra [3]) w rymach, przeładowanych jednak retorycznemi pytaniami i przesadnych pochwałami.

Na dworze Wiśniowieckiego nie źle się działo Twardowskiemu. [4]) Miał on serce wdzięczne i do swoich chlebodawców przywiązywał się szczerze i głęboko; a w swoich poematach nie szczędził im słów dziękczynnych i wspominał o nich z uczuciem. Tak Zbarazkich, zwłaszcza Krzysztofa, nie zapomniał nigdy, tak i dla Wiśniowieckiego zachował długo wdzięczność.

Na warszawski sejm w r. 1635 wziął Wisniowiecki ze sobą Twardowskiego. [5]) Po skończeniu obrad nadworny teatr Władysława IV. wystawił jakby dramat z muzyką, p. t. „Daphnis przemieniona w drzewo bobkowe“, w obecności króla samego i kró-

---

[1]) „Jakub Wojewódzki. Pod Smoleńskiem zabity 10. stycznia“. (1634 r.) (w Miscell. selec.).

[2]) „Nagrobek Garsonkowi“ (w Miscel. selec.).

[3]) „Pamięć śmierci Aleksandra Karola r. 1634 20. listop.“ (w Miscel. selec.).

[4]) Niesłusznie wnioskował Chlebowski na podstawie źle zrozumianej „Pobudki cnoty“ (w Misc. sel.), że Twardowski żalił się na Wiśniowieckiego. Thieberger wykazał Chlebowskiemu omyłkę. (Por. Thieberger, str. 22 i nast. w przypisku).

[5]) Dowodem „X. Wiśniowiecki Janusz“, r. 1646, str. 49.

lewiczów i senatorów.[1]) Sztuka ta przez włoskiego poetę napisana i odegrana po włosku, była oczywiście nie dla wszystkich dostępna, a przy małym zmyśle kombinacyjnym nieoswojonej z teatrem szlachty wprost niezrozumiała. To też pewnie wskutek zabiegów samego autora Twardowski przetłumaczył treść po polsku i wydał w Warszawie. Taka treść zastępowała libretto i może rozchwytywana była bardzo.[2]) Później przełożył całą rzecz, przerobił, w niejednem miejscu pozmieniał i wydał w 1638 r.[3])

Po powrocie do Wiśniowca, w nie tak długi czas znowu, umarł książę Janusz, a przy śmierci jego obecnym był Twardowski.[4]) Zanim w 10 lat później żywot jego opisze, teraz wydaje niewielką „Pobudkę cnoty", w której jednem okiem w przeszłość umarłego spogląda, drugiem zaś w przyszłość sięga i maleńkiemu synowi Janusza świetną wróży przyszłość. Ten syn miał na imię Jerzy Dymitr. Jego to nauczycielem był zdaje się Twardowski w tych latach, w których nie wiemy dokładnie, gdzie się obracał i jakie koleje przechodził.

Spotykamy go znowu dopiero na walnym sejmie w Warszawie w r. 1639, dokąd przybył pewnie w orszaku Jeremiego Wiśniowieckiego, który był opiekunem jego elewa. Na sejmie powstała burza między podkanclerzem Ossolińskim a podkomorzym drohickim, Baranowskim, starły się ostre słowa, posypały obelgi i sejm 15. listopada zerwano. Uderzył żałośnie Twardowski po lutni i wydobył z niej tony skargi na spaczone pojęcia wolności, rozradzającej się w swawolę.[5])

---

[1]) Wójcicki: „Teatr starożytny w Polsce". Warszawa 1841.

[2]) Do dziś dnia praktykuje się rzecz taka w Warszawie na włoskich operach.

[3]) W Lublinie.

[4]) Patrz dedykacya „X. Wiśniowieckiego Janusza" z 1646 r.

[5]) „Na sejm rozerwany w Warszawie. 15. Novemb. 1639 r." (w Miscel. sel.).

I znowu brak nam wskazówek, według których możnaby dalej splatać wiadomości o jego życiu. Wydaje bezimiennie w 1640 r. długo za utwór Rysińskiego uważanego „Satyra na twarz Rzpltej“.[1]) Przy czytaniu „Satyra“ niejednokrotnie dźwięczą struny jakby żalu, jakby smutku, że samemu autorowi źle się powodzi, jakby wyrzutu, że tym, którzy grosz mają na usługi, wszystko idzie jak spłatka, a biedni wzgardzeni są i postponowani mimo trudów i zasług. Czy bieda go wówczas trapiła, czy może wprost na lodzie osiadł i do Wielkopolski wróciwszy, nie miał o co rąk zaczepić? Wady rodaków wytykał dzielnie i smutny był, że wady są. Czyż do smutku z powodu ojczyzny i troska nad sobą samym się łączyła?

Aż w roku 1642 Piotr na Lachowcach, Zdunach i Kobylinie[2]) Sieniuta dał mu w zarząd Dzierżanów i Stary-gród.[3]) Nie musiały być całkiem skromne z tego dochody, skoro Twardowski powoli zbiera sobie kapitalik. Gospodaruje i zaleca się swoim protektorom. Kiedy Bogusław Leszczyński obejmował wielkopolskie generalne starostwo 6. lipca 1643 r. napisał „Pałac Leszczyńskich“, masowy panegiryk, w którym i Sieniutom z nowym jenerałstarostą spokrewnionym dostały się pochwały.

Dzięki Łukaszewiczowi[4]) następujący notujemy wypadek. Dnia 6. czerwca 1644 r. był Twardowski w Kobylinie z Piotrem Sieniutą, Janem Kaweczyńskim i Kasprem Kuroszą, szlachtą, dworzanami Sieniutów, jako rewizor w sprawie Wawrzyńca Styki, garncarza, którego cech garncarski z powodu jakichś przewinień

---

[1]) Że to utwór Twardowskiego rozstrzygają inicyały na wydaniu z 1645 r. S(amuel) z S(krzypny) T(wardowski).

[2]) Kobylin leży na zachód od Krotoszyna wśród błot między Orlą i Radzącą.

[3]) Odkrycie Józefa Przyborowskiego w archiwum poznańskiem. — W Starygrodzie było przed wojną szwedzką za Jana Kazimierza 10 kmieciów. Był tu kościół, karczma, szkoła. (Łukaszewicz: „Krótki opis“. Poznań 1869).

[4]) „Krótki opis miast i wsi... w powiecie krotoszyńskim...“ (Poznań 1869).

wyrzucił. Twardowski napisał wyrok w swojem i współrewizorów imieniu: „Panowie rewizorowie Wawrzyńca Styke pristino honori et famae restytują, amori fraterno in gremine jako najpilniej oddają, do wszystkich artykułów w przywileju opisanych przypuszczają, ad primatus et praelaturas i drogę torują, wiecznej niepamięci i zapomnieniu to oddawszy, warują, aby żaden tak z braci jak z sąsiadów pod winą niedziel dwunastu turris sessione i grzywien 50 mulcti na ratusz kobyliński odłożenia nie śmiał tego postanowienia naruszać.“

I jeszcze jedna pamiątka z tego samego roku. To „Jaśnie w. parze Jakubowi Rozdrażewskiemu [1]) i Annie z Bnina Przyjemskiej. epithalamium zaśpiewane w Koźminie“. Z dnia 2. października.

Tymczasem kapitalik rósł wytrwale, aż pozwolił Twardowskiemu pożyczyć 6.000 złotych Sieniutom i wziąć w zastaw Zarubieńce na Podolu. Kiedy się tam przeniósł. niewiadomo. Wydany w Lesznie w 1646 r. „X. Janusz Wiśniowiecki“ (opis życia księcia) skłaniałby do wniosku, że w tym roku był jeszcze w Wielkopolsce. Lecz mniejsza z tem, dość, że w Zarubieńcach [2]) zagospodarował się na dobre, hodował obszerne pasieki i rozkoszując się wiejskiem życiem, radował ze złotej mierności. Nie długo radość trwać miała.

Książę Krzysztof Zbarazki po powrocie z Konstantynopola usiłował natchnąć króla, senat i rycerstwo wiarą, że przy natężeniu sił i wytrwałem działaniu możnaby położyć kres potędze tureckiej i zamorskiego przybysza znowu przepłoszyć za morze.

---

[1]) Rozdrażewscy byli dziedzicami Krotoszyna, który leży opodal Zalesia.

[2]) Zarubieńce leżą nad rzeką Bnieczną, która tworzyła tu niegdyś staw obszerny; mają cerkiew pod wezwaniem św. Jana. Gleba b. urodzajna. Lasy w koło. Wypala się tu wapno, robi cegły. (Borkowski: „Album“).

Napisał on oprócz relacyi poselskiej „Dyszkurs o tym, jaki był Status monarchiey Tureckiey, jaki teraz, zkąd ten nieporządek i jeźli remediabilis, co za vires morzem y ziemią; czego spodziewać się z tego pokoiu (chocimskiego), y które są racye po nim y przeciwne“. Jego przekonanie, że Turcya jest właściwie próchniejącem drzewem, do którego tylko dobrze trzeba przyłożyć siekierę, podzielał Twardowski i powtarzał nieraz. Władysław IV. podejmował te myśli i układał plany zbrojnej akcyi w tym duchu razem z hetmanem Koniecpolskim. Ale po śmierci hetmana, najmożniejszego i najbardziej gorliwego poplecznika królewskich zamiarów, wskutek opozycyi szlachty robota cała szła w niwecz, a Polska zamiast wystąpić czynnie i nadmiar kipiącej energii w kozactwie obrócić w piersi Stambułu doczekała się okropnych plonów ukrainnej gospodarki, strasznego najazdu Chmielnickiego. Spłynęły krwią naprzód pobrzeża Dniepru, potem wszystkie ruskie kraje, okrucieństwo szło w zawody z męstwem i desperecką zaciekłością. Jeszcze bohater rozgorzałej wojny, ks. Jeremi Wiśniowiecki, mógł był trzymać w szachu w głąb Rzpltej idące wojska kozackie, ażby się nowe porobiło zaciągi i pospolite ruszenie stawiło, gdy dwa nieszczęścia spadły razem prawie. Haniebna klęska piławiecka i śmierć króla.

Czy Twardowski był pod Piławcami, na pewno orzec się nie da.[1]) To niewątpliwe, że kiedy potem zagony kozackie i tatarskie rozlały się szeroko, gdy Chmielnicki zrabował Zbaraż, i on uciekł, a nie oparł się aż w Wielkopolsce.

„Tużem już nie czekał
I ia dłużey i rowno z drugiemi uciekał,
Przyznam się nie leniwiey: fanty procz domowe
Mielsze z sobą, a zbiory wiotche papierowe
W małym pudle uniosszy. Lubo (co za dziwy?)
Uciekał i Pindarus: w tym iednak szczęśliwy,
Że gdy Theby gorzały, Philip mu ochronił
Iego tam Muzeolu. Mego nie obronił
Żaden dźwięk Apollinow, ani głos Łabęci
Niebieskiey Melpomeny. O słodkiey pamięci
Dziedzino! O nad Hible kochańsza pasieko
Tożeś od swey ozdoby barzo dziś daleko!“[2])

---

[1]) Pro przemawia „Wojna Domowa“: str. 27 i 33, cz. I.
[2]) „Wojna Domowa“, cz. I. str. 36.

Na boku przypisek: „Ruszony z Zarubiniec“. Było to we wrześniu 1648 r.

W Wielkopolsce krótko bawił i pospieszył na sejm elekcyjny do Warszawy, może z Bogusławem Leszczyńskim.[1]) Gniewa go gadanina i ugodowe stronnictwo, które chce układami sprawę załatwić. Przychyla się do zapatrywań Wiśniowieckiego i nawet na obranego w końcu Jana Kazimierza jakby z nieufnością spogląda.

Wojna. chwilowo zawieszona, rozpala się znowu. Twardowski pisze pobudkę wojsku wychodzącemu pod Ołykę i sam może spieszy na teren bojowy. Nastąpiło sławne oblężenie zbarazkie, potem drugie zborowskie i pokój zapadł w 1649 r. Jeżeli był jednym z tych, którzy przetrwali sześciotygodniowe piekło na ziemi, jeżeli był jednym z tych. którzy bohaterami byli prawie wszyscy bez wyjątku, jeżeli przebył zbarazkie oblężenie,[2]) niechaj chwała będzie jego imienia wiekopomna.

Kiedy po zborowskiej ugodzie wrócił do Zarubieniec, skarżyć się musiał:[3])

„...kiedy nam po boiu
I tak przykrych włóczęgach, powrócić się beło
Do swych nazad zgorzelisk i przynamniey mieło
Obeyrzeć ich popioły. Aż my miasto chłopów
Poddanych nam dopiero, iakichci Cyklopów
Okrutnych tam zastali, takie stawiać czoła,
Takie twarzy, iakoby nie znali nas zgoła.“

Jakoż w takich stosunkach, kiedy harde, rozzuchwalone chłopstwo zaznawszy przyjemności buntu nie chciało nic już karku pod jarzmo dać, ale wogóle słuchać, kiedy lada chwila groziła rzeź, a nowy najazd kozacko-tatarski, nie dziw, że Twardowski nie chciał zostać w podminowanym kraju i z końcem 1650 r. przeniósł się do Wielkopolski. Sieniutowie przyjęli go gościnnie i powierzyli zarząd dóbr kobylińskich z siedzibą w Zalesiu.

---

[1]) Wojna Domowa“, cz. I. str. 39, 42, że był na sejmie.

[2]) Z opisu możnaby wnosić, że był. „Wojna Domowa“, cz. I. str. 52—102.

[3]) „Woj. dom.“ cz. II. str. 4.

Pomiędzy jedną a drugą wojną kozacką wydany został wielki historyczny poemat, [1]) opiewający życie Władysława IV. Dedykacya dla Jana Kazimierza, pisana po powodzi klęsk, płynąca z głębokiego odczucia strasznego kontrastu między szczęśliwem panowaniem poprzedniego króla, a nieszczęściami razem z jego śmiercią spadłemi, zawarła, zawrzeć musiała zwłaszcza przy rozgorączkowaniu ówczesnem przesadny panegiryk dla Władysława. Oto wszystkie cnoty gościły w Polsce w czasie Władysławowych rządów, nie chwiał się tron, szanowano prawa, wolność i swobody nienaruszone, trwał pokój, dawał Bóg urodzaje. A teraz? Teraz w myśl polityki Wiśniowieckiego należało zwalczając pokojowe plany kanclerzyńskiej partyi i wskazując na przykład bitnego Władysława zachęcać króla:

„Przebóg nieniieszkay, przebóg nieodkładay,
A w te pożary konia w skok dosiaday“.

Dziwny był los tej książki. Świeżo po jej wydaniu przyjechało do Warszawy poselstwo celem zawarcia pokoju, w istocie celem rozwodzenia skarg i dzikich pretensyi o rzekome i rzeczywiste lekceważenie tytułów cara przez panów polskich. Na czele poselstwa stał chytry Puszkin, szukający, z czegoby się dał wyłuskwić casus belli. Przyzwyczajony do bezwzględnej czci dla władcy, który o tytuły dbał jak człowiek ciasny a fałszywie ambitny, przyzwyczajony do absolutnego traktowania, domagał się w głos, żeby co rychlej spadły głowy tych, co carowi ubliżyli. Król i senatorowie, skłopotani z powodu ukrainnych zaburzeń, wszelkiemi siłami starali się odeprzeć widmo wojny z Moskwą i łagodzili Puszkina, nie mogąc zaspokoić jego pretensyi. Aż gdy poseł w dowód, jak Polacy lżą cara bez ceremonii, czytać począł wyjątki z „Władysława IV.“, w których Twardowski ostro kreślił charakter całej Moskwy, wtenczas poświęcił król dla utrzymania pokoju poemat, głoszący sławę jego poprzednika i brata, i skazał książkę stosownie do życzeń posła na spalenie. Czy ustąpił słusznie? Czy honoru swego nie naraził na szwank? Czy może lepiej, że mniejszą rzecz ofiarował, by większą zachować? Nie nam sądzić. To wiemy, że Puszkin szkody poematowi nie wyrządził

---

[1]) P. t. „Władysław IV.“ (wyd. 1649 i 1650).

wielkiej, raczej przysługę. Kat spalił część egzemplarzy tylko. Resztę rozchwytano czemprędzej i czytano chciwie, bo sprawa przybrała rozgłos i przysporzyła Twardowskiemu niemałej sławy.

W następnym roku podniósł Chmielnicki znowu całe kozactwo i z wszystkiemi hordami tatarskiemi wkroczył w granice Rzpltej. Po drodze zgarniał ku sobie czerń i rosnąc w coraz większą potęgę, szedł wśród pożarów i mordów, ażeby osłabić Polskę do reszty i uzyskawszy korzystniejsze od zborowskich traktaty w udzielne władanie posiąść Ukrainę. Tym razem jednak Rzplta, jakby zbudzona z odrętwienia i lekceważenia przeciwnika, skupiła siły i w jednej bitwie pod Beresteczkiem, jak jej cześć wymagała, skruszyła ambitne plany kozackiej pychy. Ale zwycieskie wojska polskie nie poszły aż do gniazda wrogów i nie zgasiły tam doszczętnie zarzewia, które później znów płomieniem wybuchać miało, bo szlachta pospolitego ruszenia oparła się królewskim zamiarom i rozproszyła do domowych siedzib.

Jeżeli Twardowski posłuchał wezwania rozesłanych przed wojną wici [1]) i jeżli należy mu się gałązka z wieńca chwały beresteckiego zwycięstwa, to pewnie wrócił (jak inni) do Zalesia zaraz po rozgromie wroga.

Odtąd pod zachód życia swojego schodząc z daleka patrzy na polityczne wypadki, choć wszystkie rany i radości ojczyzny sercem odczuwa i pisze wierszem długą historyę wojen, od początku kozackiego buntu.

Zarazem coraz częściej, coraz goręcej myślą do Boga się zwraca, a nawet skłania ku dewocyi nieco. Tak n. p. w r. 1653 przyjmuje wraz z żoną Elżbietą bractwo św. Anny w kościele Bernardynów w Kobylinie.

---

[1]) Wojna domowa", cz. II. str. 10.

Tę ostatnią wiadomość Łukaszewiczowi zawdzięczamy, jak i dwie inne z tego czasu. Oto rozstrzyga w 53 r. sprawę między spadkobiercami młynarza Trafarza o młyn w Starymgrodzie, a nie mogąc ich pogodzić, odsyła do podstarościego Rakowskiego. W r. zaś 1655 zjechał ze Zdun,[1]) (do których przeniósł się z Zalesia) do Kobylina, aby na życzenie Jana Długołęckiego, kobylińskiego mieszczanina, potwierdzić wraz z Przybyszewskim, Kobylina dzierżawcą, testament Długołęckiego i opiekunów jego dzieci.

W roku 1655 umarł Krzysztof z Bnina Opaliński, wojewoda poznański. Musiała więc „Nadobna Paskwalina z hiszpańskiego w polski przemieniona ubiór", być gotowa do druku w tym roku, skoro na jej czele jest dedykacya dla wojewody. Pisana zaś była po 1651 r., gdyż jest w niej alluzya do beresteckiej wiktoryi.[2]) Ale czy była także wydaną zaraz — nie wiemy.

Tymczasem nadchodził nowy paroksyzm na Rzpltą, od poprzednich straszniejszy, obejmujący całą Polskę, jak była długa i szeroka, a zakończony dopiero po wielu latach i wielu trudach. Zemsta i zdrada Radziejowskiego, kapitulacya pod Ujściem, gromadne opuszczenie Jana Kazimierza, odstępstwo Opalińskiego, Radziwiłłów, pierwszych senatorów i urzędników, wojska i szlachty. Rozlały się zastępy szwedzkie po Polsce, a Karol Gustaw obejmował Rzpltą we władanie. Twardowski zwątpił w sprawę Jana Kazimierza i napisał „Omen królowi szwedzkiemu"[3]) zaraz na początku wojny, w którym wróżył Karolowi, że ogarnie całą Polskę. Wiązały p. Samuela stosunki z Opalińskim, który w poznańskiej ziemi pierwszy porzucił drogę obowiązku, szedł p. Samuel za głosem sofizmatycznego rozumowania, że można opuścić prawowitego króla, gdy inny w oczy błyska nadziejami wydobycia z toni nawy skołatanej ojczyzny. To prawda. Mówił w tym wierszu:

---

[1]) Zduny były mieściną Sieniutów, którzy bardzo przyczynili się do jej wzrostu.

[2]) „Nadobna Paskwalina", wydanie z r. 1701, str. 118 i 119.

[3]) W „Miscel. select."

„Ciężka i rzadko bezpieczna odmiana
Ile w poddanym nieznacznego Pana.
O! jakie kto z nas himery nie przędzie
W głowie nie swoiey! złym dobrymli będzie!“

I to prawda. Ale czemu zamiast obaw co do przyszłości nie poczuł trwogi, że honor się takiem odstępstwem plami? Dziwny padł wówczas cień na głowy szlachty i dziwne było zamieszanie pojęć, dziwne pojmowanie obowiązku i stosunku względem króla. Można Twardowskiego, jak i innych, tłumaczyć, — usprawiedliwić nie można.

Rehabilitował się jednak. Jak suponować wypada, że był pod Ujściem, tak też po zmianie frontu przekonań szlachty, po odezwaniu się głosu sumienia, przyłączył się prawdopodobnie do oddziału Opalińskiego w powstaniu zbrojnem.

I tak choć bez dowodów absolutnych przypuszczać by można:

Że brał udział w oblężeniu Leszna 27. kwietnia 1656 r. Że był potem pod Kostyniem, że bił się z Wassemanim, że oblegał Łowicz, że był pod Warszawą, a przed zdobyciem stolicy stawiał opór Duglasowi, ciągnącemu z odsieczą. Po wzięciu jednak Warszawy wrócił do domu. Ale ztąd wypłoszył go w 1657 r. generał szwedzki, Wrzeszowiec, Czech rodem, który rabował okolice Kobylina. Schronił się pewnie znów do oddziału Opalińskiego, pod którego dowództwem zdobywał Kalisz. [1])

Lecz tu już zaczęły się coraz lepiej układać stosunki. Szwedom, wygnanym z głębi Polski, i przy granicach stawało się coraz ciaśniej i coraz goręcej. Twardowski usunął się do Zalesia i ztąd przysłuchiwał się wieściom. Wydaje w 1657 r. część „Wojny domowej“ o potrzebie Beresteckiej i pisze dalszy ciąg i wyczekuje końca, pokoju. Ale na horyzoncie zebrały się nowe chmury, Rakoczy, Kozacy, nowy tumult, nowa zawierucha. Może był Twardowski na sejmie w 1658 r. i jeszcze bardziej zwątpił w rychłe rozwiązanie sprawy. Bo zwątpienie opadało go często. Czuł, że nadchodzi kres życia, że niewiele czasu zostaje do tworzenia poematu, więc końca wojny czekał, końca pragnął. Chwilami chciał

---

[1]) Wszystkie powyższe wiadomości opierają się na wzmiankach z „Wojny domowej“.

nawet przerwać pisanie. Aż przyszedł pokój oliwski, który z radością powitał jako zapowiedź lepszej doli dla ojczyzny, jakby jutrzenkę nowej epoki.

Jeszcze trzy drobne szczegóły notujemy z jego życia.[1]) W r. 1659 obrany został ze stanu szlacheckiego seniorem bractwa św. Anny w kobylińskim kościele Bernardynów. W r. 1660 wstąpił do drugiego bractwa Niepokalanego Poczęcia N. Maryi Panny w tymże kościele. W 60 roku także d. 30. października za jego pośrednictwem mielcarze kobylińscy zrobili układ ze swym proboszczem X. Brysiewiczem o zlewne od każdego waru piwa.

Do pokoju oliwskiego doprowadził Twardowski „Wojnę domową". Schorzały, pozbawiony sił nie o wiele przeżył koniec długoletnich bojów. W grudniu 1660 roku pochowano jego ciało w kościele Bernardynów w Kobylinie. Zostawił żonę Elżbietę i synów Zygmunta i Stanisława.[2]) Rodzina wystawiła mu pewnie nagrobek, ale pożar kościoła w XVIII. w. nie przechował z niego nawet śladu.

Za to pozostał ten jaki Gawiński w „Dworzankach" umieścił:[3])

„Starożytnych cnót polskich istota prawdziwa
I Muz polskich: Twardowski z Skrzypna tu spoczywa.
Rzućcie laur na jego grób; rzućcie amaranty
Dziedziczki Helikońskie, wiecznej sławy fanty.
Rzuć i krusz grot twój Marsie, twa to trąba była,
Iliadę polskich dzieł co światu głosiła.

---

[1]) Łukaszewicz, j. w.

[2]) Łukaszewicz podaje, że Zygmunt chodził dzierżawami w okolicach Kobylina. Był członkiem bractwa św. Anny, jak ojciec. Umarł w 1674 r. d. 7. kwietnia w Dupinie. Na trzy lata przed śmiercią dzierżawił Targoszyce, z których w 1674 r. ruszył na pospolite ruszenie. Żona jego miała na imię Jadwiga. O Stanisławie nic podać nie może.

[3]) Wydanie z 1664, str. 114.

Cóż słyszę? Z gór auzońskich dźwięk się jakiś jawi,
Który śród możnych Kamen, Kalliope prawi:
Zła śmierci, nie chlub mego kochanka się zbiorem,
Żyje on i pod niebo mądrym wzlata piórem."

Szlachecki typ XVII. wieku na tle epoki.

„Bogu żyj y oyczyźnie swoiey ku ozdobie
Potemże familiey y samemu sobie."
(*Twardowski:* „Satyr", 1645).

Dziejowe przemiany. — Polska XVII. w.: reformacya i humanizm. — Metamorfoza polityczna — Twardowski: Wykształcenie. — Charakter. — Gospodarz. — Żołnierz. — Przyjaciel. — Podziw dla bohaterów. — Rycerskość. — Prawdomówność. — Wesołość. — Pochlebstwo. — Wdzięczne serce. — Wyobrażenia szlacheckie. — Fantazya. — Filozofia. — Wątpliwości. — Pogląd na naturę ludzką. — Namiętności wrodzone i nabyte. — Kara Boża. — Kobieta. — Wychowanie. — Miłość. — Religia. — Tolerancya. — Fanatyzm. — Papista. — Opatrzność. — Powierzchowność. — Zabobon. — Patryotyzm. — „Omen". — Polityka. — Rojalizm. — Znowu „Omen". — Polityka zewnętrzna. — Wewnętrzna. — Pospolite ruszenie. — Choroby Rzpltej. — Poeta. — Pojęcie zawodu. — Sztuka.

W czasach p. Samuela Twardowskiego odbywała się właśnie jedna z dziejowych przemian.

Przychodzą one wolno i działają zrazu leniwo, ospale, niby czując, że mogą przedwcześnie spłoszyć ofiarę, czołgają się cicho, bez szelestu, w pomroce, tylko czasem zaświecą w oczy splotem nowych myśli, jak wielkie węże ślizgające się w nocy po zdobycz błyskają łuską w potwornych zgięciach. Wyrosłe z nasion przeszłości, od przeszłości odmienne, przecież noszą w ogólnych rysach odziedziczone cechy i z początku dziwnie zręcznie układają maskę, aż złudzenie podobieństwa jest zupełne. Zaczem przystęp wszędzie mają łatwiejszy i mogą bezpieczniej pracować. Czasem bystrzejszy umysł nagle spostrzeże ciche, podstępne działanie i uderzy w dzwon trwogi na alarm, odpowie mu niewielu echem, inni zagłuszą zaraz głośnemi drwinami z przywidzeń, przywalą

hałasem żartów, a wśród takiej burzy powolne ciosanie nowej epoki trwa dalej.

Czasem, gdy przemiany niosą dobre dary, z których przyszłość rozrodzić się może świetlana, bardziej czułe ucho załaskocze szept natchnionej wróżby, a wnet oddźwiękną wieszcze struny i zagrają hymn wesela i pobudkę, aby na oścież otworzyć serca i gotować na przyjęcie nowych ideałów. Wówczas znowu rozlegną się głosy zaprzeczenia, sceptyczny chór zawodzić będzie na ton chłodnego rozsądku, a wśród takiego gwaru ciche kucie nowej epoki trwa bez przerwy.

Jakoż pojawiają się coraz częściej dwa wręcz sobie przeciwne zjawiska. Jedne źródła dawnych natchnień i dążeń wysychają systematycznie, jakby zabite suchem tchnieniem wyczerpania, inne natomiast poczynają pracować ze zdwojoną siłą. Rwie się w nich miara i ład, rodzi konieczność przesady, rozpęd przestaje uznawać jakiekolwiek granice, aż zbytnia wybujałość łamie się sama w sobie i następuje bezwiedne samobójstwo.

Trop w trop opada wszystko pewna nuda, pustka w sercu daremnie szuka, bo na równą pustkę w wyobraźni trafia, rozum porzuca próżne wysiłki i miele w koło resztki dawnej strawy, a po tym zmroku przychodzi zupełna noc, w której ospałość zwycięża ostatki pozostałego rozpędu i gasi życie duchowe.

Lecz oto już poczyna świtać. Z popiołów przeszłej epoki wyrasta nowa. Czasem przynosi pęk cudownych promieni i otwiera bogate źródła, sypie perłami wzniosłych uczuć, wabi wyobraźnię w bajeczne kramy i umysłom poddaje głębokie otchłanie dociekań; czasem świt jest dziwnie szary, mglisty, bez uroku, a po świtaniu w dzień ta smutna mgła ani nie opadnie całkiem, ani nie wzniesie się, nie zniknie w górze, jeno waha się równo nad ziemią i zasuwa wszystko w przykry cień, w półmrok, który zaciera kontury i przyćmiewa barwy, budząc szarą jednostajność.

W czasach p. Samuela Twardowskiego odbywała się właśnie jedna z dziejowych przemian.

W XVI. wieku działały dwie potężne siły, które podniecały umysły i dawały impuls temperamentom, ambicyi, uczuciom. Humanizm i reformacya.

W Europie całej poczęte w XVII. wieku wyzwolenie z pod przewagi obu sił w różnych krajach postępowało w różnym tempie; po większej części żółwie to były kroki, była powolność wielka, miejscami zastój nawet, tylko gdzieniegdzie dzięki wybitnym nad zwykłą miarę głowom i dzięki przyjaznym stosunkom wyzwolenie nadchodziło żwawiej.

W Polsce przedewszystkiem reformacya religijna przygasła prędko, jakby zabrakło podsycającego ją materyału rzeczywistej potrzeby dusz i wabiącego tchnienia nowości. Z wielkiego pożaru po przepaleniu głównych wiązań, za ustaniem wiatru, zostają zapadłe zgliszcza, wśród których tlą się jeszcze niewygasłe resztki, czasem żywiej zaświecą, buchną ogniem, na krótko. Iskry przestają latać, nadchodzi spokój, walka z pożarem kończy się pożaru przegraną. Tak w Polsce po mozolnem zmaganiu się katolicyzmu rzymskiego z religijnemi nowinkami, katolicyzm już u wrót wieku podnosił hymn tryumfu i zwyciężał prawie wszędzie absolutnie. Poszli Aryanie na tułaczkę w obce ziemie, a nad głowami innych dyssydentów zawisła chmura podobnego losu. Wśród szlachty z początku ogółem wziąwszy pełnej tolerancyi, budzi się niechęć dla innowierców, potem niechęć przechodzi w żartką antypatyę, kiedy zaś rozpadło się przez łagodzące spory usposobienie Władysława powołane do życia colloquium charitativum, kiedy senat, który dawniej pół na pół miał dyssydentów w swem łonie, teraz przemienił się prawie wyłącznie w katolicki, kiedy innowiercy ponad dobro ojczyzny kłaść poczęli własne interesa i wyciągać ręce po pomoc do ościennych państw i ościennym państwom naodwrót pomoc w ojczyźnie dawać, wówczas antypatya katolickiej szlachty przeszła w nienawiść. Mnożą się sejmowe uchwały przeciw dyssydentom, ale walka na słowa i pióra tak żywa w XVI. wieku z powodu bardziej równomiernego rozłożenia sił, przycicha teraz i wielkie źródło dawnego ruchu wysycha wytrwale, a wody z niego bić przestają i tylko cichą płyną strugą.

Humanizm za to wyrugować się pozornie nie daje i cieszy się, że mu z ręki nikt nie wytrąca berła. Władanie jego rozszerza się nawet bardziej jeszcze niż dawniej, tylko jest w tem panowaniu coś, co stanie się dla niego trucizną. Oto kiedy dawniej koło jego tronu kupiło się niewielu poddanych, ale wyborowych, oddanych władcy całem sercem i całą duszą i dochodzących przez swój zapał i wytrwałość do wielkiej sławy i znakomitej nauki, teraz jego potęga traci na jędrności i energii, a obejmując liczniejsze warstwy i rozpływając się szeroko, rozpływa zarazem płyciej.

Gdy na rozlane po wielkiej przestrzeni wody o małej głębokości działać poczną wysysające promienie słońca, pracę mają mniej żmudną i osuszą prędzej grunt, na którym świeże zazielenią się trawy. Tak humanistyczna oświata rozszerzyła się po całej Polsce, a przetrawiona przez polskie umysły i w polskie przybrana cechy, ruszyła dalej jeszcze na Moskwę, na Ruś, na Wołochy. Lecz zmieniły się jej barwne szaty, bo w szkołach, w życiu, w literaturze nie służyły jej już tak tęgie głowy, jak dawniej. Szkoły przeważnie jezuickie Alwarem lub Piotrowskim znajomość łaciny szczepiły w uczniów, grecki język stracił prawo obywatelstwa, matematykę i przyrodnicze nauki ograniczono bardzo, ducha klasycznych dzieł nie umiano wywołać i uczniom okazać, więc kręcono się w ciasnem kole zewnętrznego traktowania poezyi, prozy i wymowy, i na pamięciowej drodze z bronią formułek w ręku dobywano twierdzy tajemnic retoryki i poetyki. Na domiar złego rozszerza się mniemanie, że twierdzę zdobyć łatwo, nawet zdobywa się mniej więcej dzień w dzień przy wierszowanych toastach, okolicznościowych mówkach, na każdej uczcie i przy każdej rodzinnej uroczystości. Dla pogłębienia studyów za granicę wyjeżdża szlachta rzadko, a krakowska Akademia wchodzi w znak bezsilnej apatyi. Mieszczaństwo z nielicznymi wyjątkami zupełnie nie gra roli w utrzymaniu oświaty, raczej upada w nauce całkiem, tak, jak i pod względem politycznym. Optymizm, zadowolenie się tem co jest, psuje najważniejszą sprężynę rozwoju, świadomość, że do doskonałości droga długa jeszcze, daleka, właściwie nigdy nie skończona. Brak wybitnych, o własnym wyrazie i własnych cechach, samodzielnych osobistości w literaturze i nauce, więc wszystko szarzeje jednostajnie i monotonnie. Jakoż humanizm rozlawszy się szeroko a płytko, pod palącymi promieniami francuskiego słońca skazany został na powolne zanikanie.

Tymczasem odbywa się równolegle przemiana w politycznym i społecznym stanie Rzpltej.

Pierwszy Waza na tronie polskim nie obznajomiony ze stosunkami panującymi w kraju, którym miał władać, popełnia błąd za błędem i wbrew chęci przysporzenia koronie blasku, znaczenia i powagi, rujnuje królewskość jakby z umyślną metodą. Podjąwszy tradycye Stefana Batorego, w pragnieniu, ażeby oprzeć się na posiewach wielkiego monarchy, nie okazuje ani dość sił ani

zdolności. Potem odkrywa absolutystyczne dążenia, potem wychodzą na jaw jego szpetne knowania z rakuskim dworem, a zgubiony w opinii ogółu, ściąga na siebie sejm inkwizycyjny i rokosz Zebrzydowskiego. Rokosz zabija powagę królewską do reszty. Zygmunt III. znienawidzony za niesprawiedliwe rozdawanie łask i urzędów, antypatyczny z powodu dewocyi, — przez brak stanowczości w działaniu, przez łagodność odkrywającą jego niemoc względem rokoszan, traci ostatnie blaski korony, która odtąd jakby zgaszona próżno łaknie dawnej świetności. Władysław IV. popularny niezwykle z wielu względów, dzięki swojej rycerskości, dzięki zamiłowaniu w polskiej mowie i polskich obyczajach, dzięki kontrastowi, jakiego między nim a ojcem dopatrywala się szlachta, ten Władysław przychodzi już za późno. To też marzenia o wyprawie tureckiej pryskają o opór sejmu, a na następcę jego, na Jana Kazimierza zwala się nieubłagana konsekwencya królewskiej niemocy, masowe odstępstwo od tronu. Wystarczyło parę klęsk, których winę zwalono na koronę. Zagadkowy charakter Jana Kazimierza rozsiewał nieufność tam, gdzie jej jeszcze nie było, a była prawie wszędzie. Panowanie Sobieskiego miało być tak samo zatrute ciągłą walką i borykaniem z opozycyą lekceważącą władzę królewską; potęgę zagarnął kto inny: zagarnęło ją możnowładztwo.

W naturze nie ginie nic zgoła. Tak zginąć nie mogła siła, tylko przeniosła się od tronu i rozrzuciła między możne rody, które w różny sposób jej używały. Przedewszystkiem rywalizacya, jaka już w XVI. w. była między Zamoyskim a Zborowskimi, teraz tężeje bardziej i daje się odczuwać w całej historyi, bo wpływ jej jest ogromny. To też polityka króla polega na tem, że balansuje między stronnictwami królewiąt, jednych forytując bierze w pomoc do przeprowadzenia swoich planów, a gdy do zbyt wielkiej dojdą potęgi, innych znów łaską obdarza i z tych innych formuje przeciwważący pierwiastek. Oczywiście jest to anomalia straszna z wszelkiemi cechami doryweczości i podobieństwa do chwiejnego chodzenia po linie z naprzemian używanym balastem w obu dłoniach. Królewięta prowadzą politykę na własną rękę. Oto garść ich prowadzi Dymitra do Moskwy; oto inni wypędzają z Wołoch hospodara rządzącego z ramienia Turcyi i osadzają na opróżnionym tronie tego, który jest po ich myśli; oto Wiśniowieccy zakładają na Rusi jakby udzielne księstwo, utrzymują kompletną armię i przyjmują posłów tatarskich i moskiewskich; oto kiedy na jednym krańcu Rzpltej Krzysztof Opaliński pod Ujściem pod-

daje całą Wielkopolskę, niby jej pan i władca, wówczas na drugim Radziwiłłowie marzą o koronie litewskiej dla swego domu i w tym duchu prowadzą układy z królem szwedzkim; oto Lubomirski nakłania chętne ucho austryackim podszeptom i znosi się z dworem rakuskim, jakby już panujący monarcha. Ale naodwrót są inni, którzy wiernie stoją przy królu, wierność swoją pieczętują krwią, wierności swojej dowodzą ofiarą życia i majątku. Jest więc Stanisław Żółkiewski mimo intryg nigdy nie schodzący z drogi obowiązku, jest Chodkiewicz, zwycięzca z pod Kircholmu i Chocimia, jest Koniecpolski, hetman wielki koronny, wytrwały druh i poplecznik planów Władysława IV., jest Paweł Sapieha, Michał Kazimierz Radziwiłł, Piotr Opaliński. Cóż jednak pomódz oni mogli? Prawda, że razem z bohaterami jak Czarniecki bronili Rzpltej i pomnażali sławę oręża polskiego. Lecz i ci, którzy o obowiązkach zapominali, mieli chwile świetności i skarbili sobie cześć ziomków, póki jej nie splamili hańbą. I Janusz Radziwiłł i Lubomirski położyli wielkie dla dobra ojczyzny zasługi. Natomiast wierni tronu i ojczyzny bojownicy nie zdołali tak energii Rzpltej skupić, żeby ona mogła działać potężnie. Dlatego na marne szły niewyzyskane zwycięstwa, stanowczych kroków nie widać, jest przedsiębiorczość polityki zewnętrznej, ale nie ma wykonania, jest chęć reform wewnętrznych, ale jest z drugiej strony wytrwała przeciw reformom opozycya.

Prowadziła opozycyę przedewszystkiem szlachta. Ona w tym wieku urzeczywistniła z dawna upragniony ideał: demokratyzacyę społeczeństwa. W pojęcie ówczesnego społeczeństwa zupełnie nie mają przystępu mieszczanie i chłopi, mają go mieszczanie mniej nawet niż w XVI. w. Ale szlachta sama w sobie i dla siebie głosi hasło równości bezwzględnej i chociaż nie może magnatom odebrać faktycznych przywilejów, chociaż nie może wzbronić im łatwiejszego przystępu do senatu i pierwszych w państwie urzędów, przecież przynajmniej w teoryi i w zewnętrznych oznakach usiłuje wszystkich na jednym poziomie wobec prawa utrzymać i dlatego burzy się zapamiętale na każdy tytuł przywieziony z zagranicy, dlatego nie pozwala stanowczo utworzyć królowi orderu.

Jest szlachta konserwatywną do szpiku kości, czemu jednak konserwatywną w złem, jak w dobrem? Chwała jej za Kircholm i za Smoleńsk, za Trzcianę i za Chocim, za Zbaraż i Beresteczko, za wszystkie zwycięstwa pod Czarnieckim i pod Sobieskim, chwała za niewygasłe męstwo przodków, chwała za dowody gorącej miłości ojczyzny i wiary. Ale czemu pielęgnowała przekazaną

w spadku po XVI. w. wolną elekcyę w takiej formie, w jakiej odziedziczyła? Czemu liberum veto do większej jeszcze potęgi podniosła? Czemu nie stłumiła popędu do anarchii? Czemu oponowała reformom z zaciekłością, z pasyą, ze ślepym, a złym instynktem?

Były wśród tej szlachty typy różne, były i takie, które otwarte miały oko na raka toczącego ojczyznę i bolały nad chorobami Rzpltej, ukochanej z całego serca i z całej duszy.

Jednym z takich typów był p. Samuel Twardowski.

Chociaż nie posiadał wielkiego wykształcenia, przecież na współczesnem tle stanowi widoczną plamę, która zwraca uwagę i każe go zaliczyć w poczet bardziej światłych głów. Nie przez głębokość nauki, ani nie przez rzadką bystrość na ten pochlebny sąd zasłużył, ale przez szersze oczytanie [1]) w historyi i geografii, w poezyi i prozie klasycznej, przez rozsądek czujny zawsze, czego dowody składał niejednokrotnie, przez rozważanie i zastanawianie się nad różnymi problemami i przez sąd trafny.

Rozumienie ma znaczne o sobie i swoich ziomkach. Czuje silnie, że góruje umysłowo nad Moskwą i Turcyą, i z dumą chwali się z większego rozwoju cywilizacyi w Polsce. Nie uchodzi jednak jego baczności, jaka jest odwrotna strona w tej mierze i skarży się we „Wojnie domowej“: [2])

„Nie dawam tu o kim
Swego zdania; ale to rozumiem z prostszymi,
Że pókiśmy nie byli ludźmi tak mądrymi,
Lepiey zawsze biiali swe nieprzyjacioły.
Tak przed laty Atheny, im w naylepszą szkoły
Parnaskie ich kwitnęły, na gruby Philippów
Diszkurs padły. I w Rzymie, im bystrszych dowcipów
Z wodzem ich Cyceronem także się ziawiło,
Przyszłey mu to ruiny wróżką pewną było.
Coś u nas podobnego, kiedyśmy co dali
Wolność tę nieszczęśliwą subtelniey strugali,
Przestrugali nakoniec...“

---

[1]) Biblia, Homer, Livius, Tacyt, Klaudian, Pliniusz starszy, Curtius, Plutarch, Jul. Cezar, Cicero, Diodorus, Busbequius, Leunclaius i t. d. i t. d.

[2]) W. d. cz. II. str. 135.

I racyi trudno mu odmówić. Spostrzega słusznie, że przy większej wyłączności duchowego kultu niknie hart wojenny i rozprzęga się fizyczna potęga, zwłaszcza, kiedy umysłowe kierownictwo i ster społeczny chwyca ludzie pozornej nauki. Tak w czasach Demostenesa gardłacze-sofiści otwierali na ścieżaj wrota czczemu gadulstwu i anemii czynu. Pochlebia wprawdzie rodakom, kiedy ich epokę niejako z Cycerońską porównuje i epitet „mądrych“ im nadaje, za to jednak słusznie karci wolność przeradzającą się w swawolę.

Daje tem dowód rozsądku, który i na innych objawia polach.

Dr. Stanisław Turowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KLUB PATRYOTYCZNY WARSZAWSKI

w czasach powstania listopadowego

(1830 — 1831).

ADAMOWI KRECHOWIECKIEMU,
w uczczeniu Jego jubileuszu literackiego
poświęcam
Al. K.

I.

Towarzystwo patryotyczne. a klub rewolucyjny. — Jego dążność. — Klub pierwszy. — Zebranie na Ratuszu. — Protest Prezydenta Węgrzeckiego. — Wybory. — Zebranie w Salach Redutowych. — Posiedzenie nocne i jego rezultat. — Deputaci w Radzie Administracyjnej. — Pierwsza dyktatura Chłopickiego. — Zamknięcie pierwszego klubu. — Protesty przeciwko klubistom. — Organizator sił zbrojnych Szeptycki i Rada wojewódzka lubelska.

Instytucya pod nazwą „Towarzystwa Patryotycznego“ utworzoną została nazajutrz po wybuchu powstania 29. listopada 1830 roku. lecz istniała zaledwie dni kilkanaście. Wznowiona pod takąż nazwą w drugiej połowie stycznia 1831 r. przetrwała do upadku powstania. zaznaczywszy kilkomiesięczny byt swój przemożnym wpływem na umysły mieszkańców Warszawy, na kierunek rewolucyjnych rządów w kraju. wreszcie na radykalizm większości Izby sejmowej.

Instytucya owa — według opinii jednego z ówczesnych publicystów (*Gaz. Polska* z r. 1831, Nr. 180) — „była kontynuacyą stowarzyszeń, które przez lat piętnaście grobowego naszego spoczynku pielęgnowały iskrę narodowego życia, które uświęcone zostały prześladowaniami i pamiętnym wyrokiem sądu sejmowego“.

Jakkolwiek w odezwach swoich mianowała się i znaną jest w historyi jako „Towarzystwo Patryotyczne“, jednakże — urzędownie — nosiła nazwę klubu.

Przeciw takiemu jawnie i hałaśliwie występującemu organowi stronnictwa radykałów warszawskich zwracały się nawet wśród chwil najgoretszych ruchu narodowego rekryminacye ze strony tych, którzy piastując najwyższą w kraju władzę rewolucyjną, pragnęli nadać powstaniu listopadowemu charakter czysto obronny, wbrew dążeniom partyj skrajnych — do narzucenia mu dążności zaczepnej na zewnątrz, a przewrotowej w stosunkach socyalnych — na wewnątrz.

W dniu 1. grudnia 1830 r. na dane przez członka Rządu tymczasowego, Lelewela, hasło, zawiązało się w sali Ratusza głównego Towarzystwo, zainicyowane przez patrona Trybunału Ksawerego Bronikowskiego, Ludwika Nabielaka, Majznera, Ludwika Żukowskiego, adwokata Kozłowskiego, Anastazego Dunina i Maurycego Mochnackiego, w celu „wpływania na opinię publiczną“, właściwie zaś, w celu obalenia Rady Administracyjnej, którą jako uosobienie kontrrewolucyi poczytywano. „Kluby i komuny paryskie — pisze Barzykowski (T. I. 356) — stały się przykładem. My, naśladować... szczególnie Francuzów, lubimy i umiemy, a więc przyszła myśl nieszczęśliwa i opłakana — założenia klubu...“

Prezydent miasta, Węgrzecki, dowiedziawszy się o zebraniu klubistów, pospieszył na Ratusz i stanowczo przeciw obraniu owego gmachu za miejsce narad rewolucyjnych zaprotestował, grożąc, w razie oporu, użyciem siły wojskowej. Klubiści zreflektowali się i uprosili, by im jedynie dozwolono dokonać wyborów, poczem się przeniosą gdzieindziej. Węgrzecki ustąpił. Z wyborów wyszli: Lelewel jako prezes, Ksawery Bronikowski jako wiceprezes. Zastępcą tegoż został Maurycy Mochnacki, sekretarzem — Franciszek Grzymała.

Pierwsze zebranie klubistów, zrazu nieliczne, na wiadomość o deputacyi rządu, wysłanej do Wierzbna dla rokowań z Wielkim Księciem Konstantym, zmieniło się nazajutrz na tłumną i hałaśliwą manifestacyę w salach redutowych Teatru Narodowego przy

placu Krasińskich, gdzie pod wpływem nawoływań Mochnackiego, zgromadził się sprowadzony z placu bankowego tłum spiskowych, złożony przeważnie z członków Izby poselskiej, adwokatów, profesorów, uczniów i akademików, rzemieślników, podchorążych, uzbrojony w pałasze, karabiny i pistolety.

Ci, co do sali redutowej przecisnąć się nie mogli, hałasowali na placu i w ogrodzie Krasińskich. W sali ustawiono stół długi a wąski, jako mównicę. „Nie rzęsiste światło kilku kagańców — pisze o zebraniu owem Mochnacki — kilku świec, zaledwo rozjaśniało pochmurne czoła młode i stare fizyognomie, które exaltacya, długa bezsenność i oczekiwanie ważnych wydarzeń zarówno ożywiały, charakteryzowały. Im śmielsze wyrażenia z ust mówców płynęły, tym goretszym to zbrojne zgromadzenie unosiło się zapałem. Im zuchwalsze podawano wnioski, tym raźniejszy okrzyk: z g o d a ! z g o d a ! głuszył ze wszech stron zdanie przeciwne, potępiał nikczemność folgującą rządowi, albo bojaźń obracającą swe oko ku rogatkom, gdzie stał carewicz. Oklaskiem był wtedy szczęk oręża. Kolbami przybijano wota na stole.“

Wynikiem hałaśliwych obrad było wybranie deputacyi, złożonej z dwunastu klubistów, którzy nocną porą zjawiwszy się na posiedzeniu Rady Administracyjnej, w sali Banku Polskiego, przedstawili tonem podniesionym, wyzywająco szereg żądań — między innemi — bezzwłocznego podjęcia akcyi bojowej, zerwania z Wierzbnem wszelakich rokowań i przyjęcia do kompletu Rady kilku członków klubu, przez deputacyę wskazanych.

Wysłuchawszy w milczeniu deputatów, książę Adam prosił o zwłokę dla udzielenia odpowiedzi, po powrocie delegacyi rządowej z Wierzbna.

Nazajutrz, widząc niepodobieństwo uspokojenia zagorzalców, zgodziła się Rada Administracyjna na przyjęcie do grona swego czterech klubistów: Andrzeja Plichty, Ksawerego Bronikowskiego, majora Machnickiego i Maurycego Mochnackiego.

Pomięszanie się żywiołów wywrotowych z konserwatywnymi w łonie rządu spowodowało rozbicie Rady Administracyjnej i utworzenie krótko trwałego R z ą d u t y m c z a s o w e g o, po którym nastąpiła również krótkotrwała pierwsza dyktatura generała Chłopickiego, oraz zwołanie Sejmu nadzwyczajnego na dzień 21. grudnia 1830.

Żywioły goretsze wszelako przyśpieszyły o dni trzy czynności owego Sejmu, a ogłoszenie powstania za narodowe, udaremniwszy zamysł Chłopickiego do paktowania z Petersburgiem,

spowodowało dyktatora do złożenia władzy. Przyjął on ją ponownie pod kontrolą deputacyi sejmowej i ustanowił w miejsce Rządu tymczasowego, Radę najwyższą narodową.

Wystąpienie Mochnackiego z gwałtowną przeciw Chłopickiemu filipiką, atak apoplektyczny, któremu generał uległ, nadewszystko zaś wieść o projektowanym przez klubistów zamachu na dyktatora i o powierzeniu tej władzy Lelewelowi, zaniepokoiły opinię publiczną.

Zanim nastąpiło zamknięcie klubu i oddanie sprawy o zamach dochodzeniu sądowemu, zanim gwałtowne zajście między deputacyą sejmową a Chłopickim, skłoniło tegoż do ostatecznego zrzeczenia się władzy, opinia publiczna w głosach dowódzców siły zbrojnej i w odezwach rad obywatelskich prowincyonalnych zaczęła głośno domagać się zamknięcia wszelkich klubów rewolucyjnych w stolicy.

„Dyktatorze polski! — pisał d. 17. stycznia imieniem wojska organizator sił zbrojnych w Lubelskiem, Szeptycki, oraz członkowie komisyi wojennej — z boleścią wyczytawszy w pismach publicznych, że się jeszcze znajdują łatwowierni, którzy dają się wciągać w różne kluby, osłabiające ducha ufności, należącej się Władzom prawym, oświadczamy jednomyślnie, że nie znamy, ani znać chcemy innych klubów prócz reprezentantów Narodu, ani żadnej innej woli, prócz woli Dyktatora!“

Z protestem niemniej energicznym przeciw klubistom wystąpiła Rada obywatelska województwa lubelskiego:

„W imieniu wszystkich dobrze myślących obywateli swego województwa — czytamy w owym dokumencie (Sek. III. Akta Najw. Rady Narod. N. 1080) — Rada ma wysoki zaszczyt zanieść z uszanowaniem Dostojnemu Dyktatorowi uczucia żalu z powodu smutnych w stolicy wzburzeń umysłów hańbę i nieszczęście narodu sprawić tylko zdolnych.

„Ile przynoszą Narodowi polskiemu zaszczytu świetne zwycięstwa w otwartych odnoszone wojnach, tyle są bolesne wspomnienia kabał i intryg, każde nasze poprzedzających nieszczęście. Przy oświacie XIX. wieku, doświadczenia przed żyjących oczyma w obcych krajach spełnione, a nasza pokuta tak długa, tak sroga, jaką podobało się Bogu ukarać zbrodnię kilku niecnych Polaków, czyż to niedostateczne powody do zwrócenia w tą stronę całej baczności naszej w chwili, w której początkowemu powstaniu Narodu udzielone błogosławieństwa Nieba zdają się zapowiadać pomyślniejszą przyszłość? Z poznaniem indywidualnej godności czło-

wieka, z poznaniem celu stowarzyszenia się Jego, zajęło tron sobie należny Prawo, ta Wola najwyższa, której opór jest zbrodnią przeciw szczęściu Narodu wymierzoną.

„Dostojny Dyktatorze! Ta to Wola Najwyższa powierzyła Ci losy Narodu. Przestałeś istnieć odtąd dla Siebie. Drogie dni Twoje są własnością Narodu polskiego, raz jeszcze, bodaj ostatni, podnoszącego oręż dla zrzucenia jarzma niewoli. Nieograniczona władza, jakiej Ci w tej potrzebie udzielił Naród, ufny w cnoty, ufny w talenta Twoje, wrogom naszym podobać się nie może. Ich to zdradziecki głos, pod maską prawa człowieka, budzi namiętności, zdolne zaprowadzić anarchię, sromotną plagę narodów, narzędzie składające przednią straż nieprzyjaciela, która już tym sposobem depce naszą ziemię. Powinnością jest Twoją, Dyktatorze, działać, abyś zniweczył szkodliwe zamiary, a kiedy Cię przymusi potrzeba opuścić Stolicę, abyś ją zostawił rządną i spokojną...“

II.

Upadek dyktatury Chłopickiego. — Honoratka. — Wznowienie klubu patryotycznego. — Generał Woyczyński. — Decyzya Rady narodowej. — Posiedzenie klubu. — Przemowa Mochnackiego. — W sali posiedzeń akademickich. — Organizacya klubu. — Jego ustawa. — Projekt adresu do Izby poselskiej. — Głosy Znamierowskiego, Bronikowskiego, Wincentego Majewskiego i Konstantego Gaszyńskiego.

Posłuchanie deputacyi sejmowej u Chłopickiego w dniu 16. stycznia 1831 r. i odrzucenie przez nią propozycyi generała, by zamiast niepewnych rezultatów wojny z Rossyą, starać się, choćby za pośrednictwem rządu pruskiego, o ponowne zawiązanie z cesarzem Mikołajem rokowań: gwałtowna scena, jaką wywołało nietaktowne odezwanie się Ledochowskiego do dyktatora, iż Sejm *zmusi go* do zatrzymania dowództwa nad wojskiem i do walki orężnej, na co Chłopicki gniewnie odrzekł, iż *szelmą będzie, jeśli przyjmie dowództwo od Sejmu* — spowodowały ostateczny upadek dyktatury.

Skorzystała z tego frakcya Lelewela, czyli klub *Honoratki* i dnia 19-go postanowiono wznowić rozpędzony przez ex-dyktatora klub patryotyczny. Rada narodowa zawiadomiona o zamierzonem

w salach redutowych zgromadzeniu się klubistów, wydała rozkaz gubernatorowi miasta, generałowi dywizyi Woyczyńskiemu, by tego zgromadzenia nie dopuścił.

Wersya Barzykowskiego (T. II. 126), jakoby Woyczyński usłuchawszy tego rozkazu, — klubistów z sal redutowych rozpędził, okazuje się nieścisłą, gdyż mamy w aktach Najwyższej Rady Narodowej z 21. stycznia 1831 (N. 1.080) dowód, iż gubernator danego rozkazu nie wykonał.

„Mam honor upraszać Radę Najwyższą — pisał Woyczyński — o wydanie rozkazów władzy policyjnej względem zgromadzeń czyli klubów, mających się zawiązywać, ponieważ po ustaniu władzy dyktatora, gubernator wojskowy tym przedmiotem trudnić się nie powinien.“

Na marginesie Odezwy zanotowano decyzyę Rady tej osnowy:

„Ponieważ prawa krajowe nie obejmują zakazu przeciw towarzystwom jawnym, żadnych przeciwnych prawu dążności nie mającym i ponieważ dotąd kluby nie zrządziły żadnego wypadku, któryby znaglał do ich zamknięcia, Rada nie widzi potrzeby zakazywania obecnie klubów, wzywa jednak JW. generała-gubernatora, aby przedsięwziął środki ostrożności, na przypadek ich otwarcia.“

W dniu 19. stycznia 1831 r. nastąpiło w salach redutowych ponowne zawiązanie klubu patryotycznego pod prezydencyą Lelewela. Przybył nań ukrywający się w mieszkaniu Lubeckiego, Maurycy Mochnacki, przyjęty przez obecnych żywymi oklaskami. W zabranym głosie przedstawił konieczność i cele zebrania, wyjaśnił, że rewolucya listopadowa nie ma nic wspólnego z rewolucyą francuską, której celem było przekształcenie stosunków społecznych, gdy narodowi polskiemu chodzi głównie i jedynie o wywalczenie niepodległości politycznej, a przeto działanie patryotów winno być skierowanem jedynie ku zapobieżeniu niebezpieczeństwu grożącemu z zewnątrz. W końcu płomiennej swej mowy, przerywanej przez obecnych okrzykami zapału, wezwał Mochnacki do zapisywania się licznego w poczet członków klubu, co natychmiast spełniło wielu obywateli i młodzież akademicka. Do komitetu organizacyjnego powołano: Mochnackiego, Gurowskiego, Żukowskiego, Krępowieckiego i księdza Pułaskiego.

Nazajutrz, dnia 20. stycznia, w sali posiedzeń akademickich, przeznaczonej na stałe miejsce zebrań, klub, przyjąwszy projekt swej organizacyi, przystąpił do wyboru czterech wiceprezesów,

w osobach: Romana Sołtyka, Maurycego Mochnackiego, Ksawerego Bronikowskiego i księdza Puławskiego. Kasycrem został Tomasz Czaban, sekretarzami: Michał Dębiński i Tadeusz Krępowiecki. — Prezydujący Mochnacki, ogłosiwszy Towarzystwo za uorganizowane, rozpoczął obrady od udzielenia głosu Adamowi Gurowskiemu, który, wszedłszy na mównicę wniósł, by Towarzystwo Patryotyczne podało Sejmowi akt oskarżenia generała Chłopickiego. Po wysłuchaniu wielu mówców Towarzystwo jednomyślnie wniosek pomieniony przyjęło i upoważniło prezydującego do wyboru członków komitetu, w celu zredagowania, przedstawienia klubowi, wniesienia do Izb sejmowych i poparcia oskarżenia. Komitet oznaczono w osobach: Mochnackiego, adwokata Kozłowskiego, Krępowieckiego, Gurowskiego i Żukowskiego.

Ustawa Towarzystwa wyłuszczona w 16 artykułach, określiła w art. I-ym cel swój: w objawianiu publicznie opinii w rzeczach, dotyczących sprawy naszego powstania. „Instytucya ta ma dogadzać pożytkowi i dobru rewolucyjnego powstania Polski“.

Na posiedzeniu 22. stycznia, Mochnacki wniósł, by Towarzystwo podało adres do Izby poselskiej, uwiadamiający o zawiązaniu się i o zamiarach stowarzyszonych.

Oto jego osnowa:

„Reprezentanci narodu!

„Powodowani tem przekonaniem, że zgromadzenia polityczne najskuteczniej pomagają dobru powszechnemu, zawiązaliśmy Towarzystwo Patryotyczne i o tym postępku naszym śpieszymy uwiadomić was, dostojni reprezentanci polskiego narodu, żebyście i wy sami nie zostawali w omylnem rozumieniu względem zamiarów naszych i nie dawali wiary poszeptom nieprzyjaciół rewolucyi, którzyby osławić i we wzgardę waszą podać chcieli tę instytucyę, tak odpowiadającą potrzebie rozwijającego się u nas życia publicznego.

„Celem stowarzyszenia naszego jest rozszerzać, oświecać i wykształcać opinię publiczną, też doskonalić publiczny rozsądek w rzeczach, dotyczących naszego powstania.

„Dostojni reprezentanci polskiego narodu! Żadne mądre prawo, żadna ustawa nie wzbrania publicznych zgromadzeń, gdzieby się godziło mówić i rozumować. Tego tylko despotyczne obawiają się rządy, pod czczym pozorem ukracania swawoli i zapobiegania

wewnętrznym rozterkom, władzę swoją gruntujące na rzeczywistej niewoli, mocując takową zakazem mówienia.

„Przyjmijcie od nas, dostojni reprezentanci polskiego narodu, to zapewnienie, że tylko chęć szczera wspierania usiłowań waszych moralnymi środkami i najczystsza miłość ojczyzny natchnęła założycieli Tow. Patryotycznego. Tym duchem ożywieni, odbywać będziemy nasze obrady, według przepisów organizacyi, którą drukiem ogłosimy.“

Po odczytaniu projektu adresu, członek Znamierowski wniósł, by adres podany był do obu Izb sejmowych. Po dyskusyi w tym przedmiocie uchwalono jednomyślnie, aby adres podany był do Sejmu i najspieszniej ogłoszony drukiem.

Prezydujący dał głos Ksaw. Bronikowskiemu, który przedstawił zgromadzeniu projekt petycyi do rządu, o jak najspieszniejsze ustanowienie dwu trybunałów, z których jeden sądziłby przestępstwa polityczne, popełnione przed rewolucyą, drugi zaś karał przekonanych o działanie przeciwne celom powstania po rewolucyi.

Członkowie: Wincenty Majewski i Konstanty Gaszyński utrzymywali, iż wszelkie usiłowanie winno stowarzyszenie zwrócić tylko ku nieprzyjaciołom zewnętrznym.

Po wielu głosach zgromadzenie jednomyślnie uchwaliło podanie projektowanej petycyi, lecz nie do rządu, tylko do Sejmu i o jeden tylko trybunał.

III.

Posiedzenie klubu 23. stycznia 1831 r. — Wnioski klubistów o zakładanie klubów na prowincyi. — Bazyli Mochnacki o sądzie przysięgłych. — Leszczyński o reprezentacyi włościan. — Protest Ostrowskiego. — Proklamacya Dybicza. — Wniosek Psarskiego. — Mochnacki w sprawie petycyi do Sejmu o uznanie tronu polskiego za wakujący. — Poprawka Grzymały. — Adres klubu do laski marszalkowskiej.

Na posiedzeniu 23. stycznia prezydował obywatel Roman hr. Sołtyk.

Obywatel Alojzy Stankiewicz złożył Towarzystwu medal bity na cześć Bogusława Radziwiłła, który toż Towarzystwo postanowiło ofiarować naczelnemu wodzowi Michałowi ks. Radziwiłłowi.

Członek Recel uczynił wniosek o zakładanie klubów patryotycznych po prowincyach.

Ks. kanonik Malczewski wniósł, by podjęto starania o rozkrzewianie oświaty między ludem.

Bazyli Mochnacki, z powodu podanej do Sejmu petycyi w sprawie ustanowienia trybunału nadzwyczajnego, wniósł, by również taką drogą starano się o zaprowadzenie sądu przysięgłych.

„Każda zbrodnia — głosił mówca — składa się 1-o z czynu i 2-o ze stosunku do kary. Do przysięgłych należy określenie pierwszego, oni wyrokują, czyli obwiniony dopuścił się czynu. Zwyczajne sądy podlegają wpływom, tu zaś na straży stoi opinia narodu.“

Niektórzy klubiści byli przeciwni sądowi przysięgłych, lecz wniosek Mochnackiego poparli wymownie Ostrowski i Szreder. Wyznaczono komisyę do opracowania tego przedmiotu.

Po oddaleniu się hr. Romana Sołtyka na posiedzenie komisyi sejmowej, krzesło prezydyalne zajął Mochnacki Maurycy.

Obywatel Leszczyński mówił o potrzebie reprezentacyi włościan, utrzymując, że rewolucya nasza daje im do tego prawo. „Szwajcarya i Anglia zawdzięczają szczęśliwość swoją owemu zbawiennemu prawu, będzie ono miało takiż skutek i w Polsce!“

Na zarzut Bohdana Ostrowskiego, iż wielkim byłoby błędem przypuszczać do reprezentacyi narodowej tych, co ani oświaty, ani znajomości praw nie mają, Leszczyński zmodyfikował swój wniosek w ten sposób, by oświeceńsi włościanie, a szczególnie sołtysi, mogli asystować wyborom na sejmikach i zgromadzeniach gminnych i by tam przysposabiali się do politycznego życia.

Bazyli Mochnacki poparł wniosek mówcy, uważając go za nagrodę walk ich przyszłych z nieprzyjacielem.

Wniosek ten upadł.

Wereszczyński doniósł zgromadzeniu o proklamacyi generała Dybicza do Polaków, z wezwaniem ich do uległości i z zagrożeniem, w przeciwnym razie, palenia miast i wiosek.

Zebrani w milczeniu wysłuchali proklamacyi, w nadziei, że siła materyalna i moralna narodu oprze się owym przechwałkom; poczem Fr. Grzymała wniósł, by z uwagi na nagłość sprawy, wszyscy obywatele od 18 roku życia do 40 wzięli się do broni.

Pułkownik Gerycz radził, by zamiast rozmów, ruszyć zaraz na pole bitwy, lecz wniosek ten dał powód do sporu z prezydującym. Spór ten zakończył się oświadczeniem pułkownika Gery-

cza, iż nie czytał roty słowa honoru, przepisanej dla członków klubu.

Obyw. Psarski wniósł, by uchwalić petycye do Sejmu, by ten się za nieustający ogłosił.

Maurycy Mochnacki ustąpiwszy krzesła prezydyalnego księdzu Pułaskiemu i stanąwszy na mównicy, uzasadniał konieczność podania petycyi do Sejmu, by ten ogłosił: 1. tron królestwa za wakujący. 2. Niepodległość wszystkich prowincyj polskich. 3. Zwolnienie wszystkich Polaków od przysięgi wierności b. rządowi.

Wnioski te przyjęto i wyznaczono komitet do zredagowania petycyi do Sejmu, z nadmienieniem, by Sejm wezwał do swego grona obywateli Litwy, Wołynia i Podola.

Obyw. Grzymała uczynił poprawkę, by ustały półśrodki i by przeciąć drogę do odwrotu, ogłosić, że tron wakujący dla wszystkich jest otwarty.

Wincenty Majewski żądał, by Sejm udał się na publiczne miejsce i pod gołem niebem zaprzysiągł, że umrze raczej na swem stanowisku, a nie uczyni żadnej koncesyi, któraby na niepodległości narodu opartą nie była.

Prezydujący, wyznaczywszy członków do wygłoszenia mów na zapowiedzianem nabożeństwie za dusze rossyjskich męczenników wolności, posiedzenie odroczył.

Nazajutrz, dnia 24. stycznia złożono do laski marszałkowskiej adres klubu patryotycznego do Sejmu, w osnowie następującej:

„Dostojni reprezentanci narodu!

„Towarzystwo patryotyczne, po wysłuchaniu mówców swoich, zważywszy: że Ojczyzna przez układy dyplomatyczne Rządu tymczasowego, w pierwszych chwilach powstania narodowego, jako i następnie przez układy dyktatury z cesarzem wszech Rossyi, mimo życzeń i wbrew woli narodu polskiego, zawiązane i utrzymywane, narażoną została na wielkie niebezpieczeństwo, tudzież na straty niepowetowane dla przewłok i opóźnień kontrarewolucyjnych, z tego powodu wynikłych, szczególniej co do organizacyi wojska regularnego w pospolitem ruszeniu, rozszerzaniu dobrego ducha i innych działaniach rządowych.

„Zważywszy oraz, że takie postępowanie ludzi tylko bojaźliwych i niechętnych płonną nadzieją zgody, a dalszymi skutkami swymi mogłoby ostudzić szlachetny zapał w sercach wszystkich mężnych i poczciwych Polaków, z jawnym i widocznym naszej

sprawy uszczerbkiem, postanowiło i stanowi jednomyślnością poddać pod światłą rozwagę waszą, dostojni reprezentanci polskiego narodu, życzenia mieszkańców stolicy, zawarte w następującej petycyi:

„Ażeby Sejm polski stargał uchwałą swoją wszystkie ogniwa i wszystkie rozerwał stosunki między narodem polskim i rządem rossyjskich władzców, przez:

1. Uznanie niepodległości narodu polskiego, nie tylko w granicach dzisiejszego Królestwa, oznaczonych na kongresie wiedeńskim, ale także w granicach kraju, który Rossya nieprawymi przywłaszczyła sobie zaborami od roku 1772.

2. Przez uznanie Imperatora rossyjskiego Mikołaja i jego następców za odpadłych po wszystkie czasy od tronu polskiego, a ten tron za wakujący.

3. Przez rozwiązanie przysięgi, którą rodacy i współziemianie nasi złożyli, lub kiedykolwiekbądź złożyć musieli, na wierność królowi i cesarzowi, tak w Królestwie polskiem, jako i w kraju polskim, zabranym przez Rossyę. Nakoniec

4. Przez wezwanie uroczystem powołaniem reprezentantów wszystkich wzmiankowanych prowincyj pod panowaniem Rossyi zostających, ażeby należeli do składu ogólnej reprezentacyi narodu polskiego, tak jak to uczynił pamiętny Sejm w roku 1812, który się zamienił w konfederacyę generalną Królestwa polskiego.“

Po wymownej inwokacyi Sejmu do podjęcia owego kroku stanowczego, kończy się adres słowami:

„Tę prośbę natchnioną najczystszą miłością kraju, składamy u podnóża namiestniczej władzy polskiego narodu, którą wy, szanowni mężowie przez uznanie rewolucyi i pochwalenie jej twórców, z taką chwałą sprawowaliście i sprawujecie.

„Działo się na posiedzeniu Towarzystwa Patryotycznego w Warszawie d. 24. stycznia 1831 r. Za prezesa: *Maurycy Mochnacki*. Za sekretarza: *A. Gurowski*.“

IV.

Adres klubu w sprawie ustanowienia Trybunału rewolucyjnego. — Motywy sekcyi sprawiedliwości w tej sprawie. — Odezwa Rady Najwyższej do Mochnackiego. — Zakwestyonowanie bytu klubu patryotycznego.

Jednocześnie klub patryotyczny wystosował do Rządu tymczasowego w części Polski. Królestwem Polskiem zwanej, adres w sprawie ustanowienia Trybunału, „któryby się zajął rozpoznaniem i ostatecznem sądzeniem osób, które były głównymi pomocnikami tyranii upadłej, oraz któryby odbywał takież czynności sądowe względem osób postępujących kontrarewolucyjnie".

Rząd tymczasowy przesłał ową petycyę do sekcyi sprawiedliwości, która w motywowanym projekcie swej decyzyi wyjaśniła, iż z uwagi na okoliczność, że Radzie Narodowej nie służy prawo ustanawiania sądownictw i że „Towarzystwo Patryotyczne, jakkolwiek najszczytniejsze może mieć zamiary, nie jest jeszcze ani przez władze istniejące uznanem, ani przyzwolonem, ani niewiadomo, czyli podług pewnych prawideł praw obowiązujących uorganizowanem, a propozycya żądanego Trybunału pociągałaby jeszcze za sobą ustanowienie przysięgłych, którzyby rozpoznawali, czyli i kto był pomocnikiem tyranii i kto postępującym kontrarewolucyjnie — z tych wszystkich powodów, sekcya sprawiedliwości pozostawiła Radzie Najwyższej „dekretacyę udecydować na sesyi".

Decyzyę tę Rada Najwyższa uchwaliła już po pamiętnym dniu 25. stycznia 1831 r., w którym zgodną z petycyą do Sejmu w sprawie detronizacyi, powzięto uchwałę.

„Odebrawszy przedstawienie Towarzystwa Patryotycznego przez p. Maurycego Mochnackiego w zastępstwie prezydującego podpisane — brzmiała odezwa do Mochnackiego — Rada Najwyższa, nim odpowie na wniosek względem ustanowienia jakowego sądu nadzwyczajnego, zapatrzywszy się na art. 277 prawa krajowego i na art. 2. postanowienia z d. 6. listopada 1821 r. jako prawa dopóty obowiązujące, dopóki władza prawodawcza ich nie odwoła, lub nie zmieni, tudzież na art. 2. Uchwały sejmowej z d. 30. stycznia 1831 r. zapytuje się, na mocy jakiego upoważnienia Towarzystwo Patryotyczne zawiązało się i jakie są jego ustawy i zamiary?"

Odpowiedzi na powyższą odezwę Towarzystwo Patryotyczne nie udzieliło Rządowi, gdyż zaszły wypadki znamienne, które począwszy od dnia 25. stycznia 1831 r. uwagę władz krajowych i całego społeczeństwa na inne ważniejsze skierowały sprawy.

V.

Uchwała detronizacyjna 25. stycznia. — Klub urządza manifestacyę uliczną na cześć męczenników wolności Rossyan. — Pochód przez miasto: Trumny symboliczne. — Przed kolumną Zygmunta. — Lelewel prezyduje po raz pierwszy na posiedzeniu klubu. — Mochnacki Bazyli przeciw artykułom „Kuryera Polskiego". — Dyatryba przeciw posłom. — Huki na Sejmie. — Uchwała o wytoczeniu procesu „Nowej Polsce". — Protest Wład. Ostrowskiego.

Adres klubu patryotycznego do Sejmu w sprawie detronizacyi, jakkolwiek urzędownie odrzuconym został, wszakże wobec podnieconego nastroju umysłów nie pozostał bez wpływu na bieg wypadków. Uchwała sejmowa z 25. stycznia 1831 r. odpowiedziała żądaniu klubistów. Spaliwszy wszelkie mosty, do układów wiodące, popchnęła naród na pole walki beznadziejnej na życie lub śmierć, z potężniejszym liczebnie przeciwnikiem.

Jednocześnie klub patryotyczny święcił i drugi tryumf, porwawszy tłumy uliczne do manifestacyi, urządzonej na cześć męczenników wolności Rossyan: Rylejewa, Bestużewa Riumina, Pestela, Murawiewa Apostola i Kachowskiego.

Z gmachu koszar kadeckich — pałacu Kazimierowskiego — wyruszył orszak akademików, członków gwardyi akademickiej, niosąc na karabinach w krzyż ułożonych symboliczną trumnę, której ozdobieniem zajął się gwardyak Suchodolski. Trumna była czarna, leżał na niej wieniec laurowy, przewinięty kokardami trójkolorowemi. Na pięciu tarczach widniały nazwiska męczenników. Poprzedzał orszak kapitan Mayzner, niosąc na żałobnem wezgłowiu zamiast korony i orderów, trójkolorową kokardę, godło wolności europejskiej. Za nim szło trzech innych kapitanów gwardyi, a po nich z opuszczoną w dół bronią, oddział tejże gwardyi akademickiej, wśród którego powiewał przewiązany krepą błękitny sztandar Uniwersytetu. Niezliczone tłumy napełniały ulice i okna domów, którędy orszak przechodził. Towarzyszyło mu

w porządku kilkudziesięciu oficerów gwardyi narodowej, tudzież oddział wolnych strzelców pod komendą pułkownika Gerycza. W pochodzie ku Oryentalnej kaplicy na Podwalu, gdzie duchowieństwo greko-unickie odprawiało mszę żałobną, orszak zatrzymał się przy kolumnie Zygmunta, gdzie wysłuchał krótkiej, lecz płomiennej przemowy — Adama Gurowskiego. Przy kaplicy przemówił Tadeusz Krępowiecki. Orszak pogrzebowy postępował potem ulicami: Senatorską, Napoleońską i Długą, dalej przez Leszno do Karmelitów, wreszcie przez plac Saski do sali posiedzeń klubu w gmachu Uniwersytetu. Przemowy rozbrzmiewały w rożnych punktach korowodu. Przy eksportacyi z kadeckich koszar mówił Lach Szyrma, przed arsenałem — Stanisław Koźmian, przed Karmelitami — Mayzner, na placu Saskim, przy powrocie: Dorożko i ksiądz Pułaski.

W wilią tej pamiętnej uroczystości odbyło się posiedzenie klubu, na którem po raz pierwszy ukazał się powitany frenetycznymi okrzykami prezes Lelewel. Zawiadomiwszy zebranych o przyjęciu przez Izby adresu obywateli z prowincyj zabranych i o bliskiem uznaniu owych prowincyj za wcielone do Królestwa, dał Lelewel głos Gurowskiemu, który w kilku słowach obwieścił o usunięciu kokardy białej i przyjęciu trójkolorowej — barskiej — za godło narodowe. Grzymała mówił o potrzebie pospolitego ruszenia, Tański o zapale panującym między obywatelstwem kaliskiem, Bazyli Mochnacki powstał przeciw artykułom *Kuryera Polskiego,* w których przemawiano za koniecznością zawieszania w nagłych wypadkach wolności osobistej i wolności druku.

Wolność ta, w rzeczy samej, przekraczała wszelkie dozwolone granice. Wyrazem samowoli drukowanego słowa był artykuł, inspirowany przez klubistów, pod tytułem: „Nowa własność języka polskiego“, ogłoszony w N-rze 23. Nowej Polski, w którym, zwracając się do posłów sejmowych, już po uchwale z 25. stycznia, autor użył następującego zwrotu: „Wobec was, wobec całej Europy, w obliczu nieba i ziemi, oświadczam wam: żeście się do tej roli, którą teraz sprawujecie, nie zrodzili. Dobrymi, poczciwymi ludźmi jesteście: jesteście nawet dobrymi Polakami — lecz nie wiecie tego, co czynić potrzeba w obecnej chwili!

„Wahaniem i oscylacyą, ustanowieniem zdradzieckiej dyktatury, ustanowieniem niedołężnego rządu zawodziliście przez ośm tygodni nadzieje wojska i ludu. Teraz zawodzicie te nadzieje aktem śmiesznym i błahymi tego aktu wyrazami.

„Jedną wam radę podaję: złóżcie namiestniczą narodu władzę, powróćcie do nicestwa, z którego was napróżno wyrwać chciała rewolucya. Uznajcie tem wspaniałomyślnem zrzeczeniem się samych siebie za ludzi zdatnych do wszystkiego, ale nie do tej roli, którą wam los jakby przez ironię, jakby przez szyderstwo i naigrawanie się poruczył“.

Kończy się artykuł wezwaniem:

„Trzeba zwołać kongres narodowy, bo Ojczyzna jest w niebezpieczeństwie!“

Gdy na sesyi sejmowej 28. stycznia artykuł powyższy odczytano, oburzenie powszechne dopatrzyło się wpływu rubli i talarów na pióro jego autora. Minister sprawiedliwości otrzymał rozkaz pozwania autorów artykułu Nowej Polski przed sądy krajowe, wbrew opinii marszałka Izby, Władysława hr. Ostrowskiego, który bronił zasady wolności druku.

VI.

Projekty adresów klubu do Sejmu, z dziękczynieniem za detronizacyę i do akademików za udział w obchodzie ulicznym. — Majewski w obronie wolności druku. — Hałasy w klubie. — Mochnacki przeciw Sejmowi. — Świstek wiedeński. — Z powodu odrzucenia adresu klubu. — Głosy Lelewela i Mochnackiego. — Nagłość wniosku w sprawie Trybunału rewolucyjnego. — Godła dzienników. — Głos Sołtyka.

W dniu uchwalonej detronizacyi, na posiedzeniu klubu pod prezydencyą Mochnackiego, Ksawery Bronikowski wniósł, by przesłano Sejmowi adres dziękczynny, drugi zaś by wystosowano do gwardyi akademickiej za udział jej w uświetnieniu obchodu na cześć rossyjskich męczenników wolności.

Obyw. Malinowski ofiarował Towarzystwu pieczęć z napisem „Pieczęć klubu patryotycznego“.

Wincenty Majewski, wykreślony dnia poprzedniego z listy członków za artykuł, zamieszczony w Kuryerze Polskim przeciw wolności druku, stanął w obronie własnej, przypominając zgromadzonym swój liberalny i patryotyczny zawsze sposób myślenia. Wielu obecnych głośno wyraziło mu uznanie, lecz Józefat Ostrowski poparł wczorajszą decyzyę klubu i żądał jej utrzymania. Przyłączyli się do tego wniosku Gurowski, Kozłowski i ksiądz

Pułaski. W obronie Majewskiego stanęli: Grabowski i Szabrański. Odpowiedział im Mayzner. Konstanty Gaszyński usprawiedliwiał wymownie Majewskiego, zarzuciwszy komitetowi stronność w rozdawaniu głosów. Dorożko, członek komitetu, chciał przemówić, lecz na mównicę wdarł się Majewski i nie chciał się z niej usunąć. Wszczęła się wrzawa i szemranie. Prezydujący posiedzenie zamknął.

Nazajutrz, 26. stycznia, Mochnacki zagaił posiedzenie zawiadomieniem, że Sejm odrzucił adres klubu i dlatego wniósł, że należałoby mu przedstawić statut Towarzystwa. Zachęcał do wytrwałości i do zajmowania się dobrem ojczyzny. Powstawszy gwałtownie przeciw Sejmowi, zarzucił mu, że bez żadnej zasady broni poszarpanego świstka wiedeńskiego, „jak tonący chwyta się drobnych ułamków rozbitego czółna". „Przestańmy udawać się do Sejmu — wołał mówca — czekajmy nowego rządu, jemu przełożenia nasze czynić będziemy".

Obyw. Miklaszewski odrzucenie adresu uważał za skutek nieporozumienia i dlatego radził usunąć zeń niektóre wyrazy i na nowo adres Sejmowi przedstawić.

Obyw. Gurowski twierdził, że odrzucenie nastąpiło wskutek zaciekłości reprezentantów Sejmu, którzy „monopolicznie" zachowują sobie prawo radzenia o dobru ojczyzny. Klub winien przejąć się uczuciem godności własnej i zrzec się stosunków z Sejmem. Egzystencya klubu nie zależy od Sejmu. I w Paryżu obecnie kilka tysięcy młodych gromadzi się w klubie i zastanawia się nad interesami narodu. Tem więcej możemy się spodziewać postępu w naszych działaniach, iż mamy na czele Lelewela, jednego z reprezentantów, który u narodu i u Europy sam znaczy więcej, niż wielu i w potrzebie mógłby całą reprezentować Izbę".

Obyw. Stacherski twierdził, że klub zasługuje na wzgląd u narodu, lecz Sejm o tem zapomina, „gdyż arystokraci w nim intrygują".

Szreder utrzymywał, że w każdym razie, choćby do poszarpanej konstytucyi, należałoby się stosować.

Obyw. Psarski uważał, że klub nie powinien się czuć obrażonym, gdyż obrazić go może jedynie omijanie celów szlachetnych, jakie sobie zamierzył.

M o c h n a c k i: Klub nie zna miłości własnej, zna tylko miłość wolności i niepodległości!

Prezes L e l e w e l: Konstytucyę musimy uważać za istniejącą i pod wieloma względami za obowiązującą.

Wezwał w końcu do wytrwałości i gorliwości.

Kilku członków przemówiło za słusznością oddania takiej samej czci zmarłym w więzieniach Polakom, jaką oddano męczennikom rossyjskim.

Odpowiedział ks. Pułaski, że o tem już pomyślano i że na dzień 1. lutego zaprasza klub do kościoła Karmelitów.

W końcu posiedzenia przemawiano za ustanowieniem natychmiastowem Trybunału rewolucyjnego dla ukarania zdrajców. Inni głosili, że należałoby się zająć wychowaniem dzieci żołnierskich rossyjskich, „aby z nich Polaków kiedyś mieć można było".

Obyw. Gacki radził wezwać redaktorów, aby ozdobili swe pisma wyobrażeniem dawnego herbu polskiego: orła z pogonią, a władze krajowe o skasowanie na gmachach publicznych orła dwugłowego.

Porucznik Kaczanowski mówił o potrzebie podniesienia ducha włościan przez patryotyczne listy pasterskie.

W chwili solwowania sesyi przybył oklaskami przyjęty wiceprezes klubu Roman Sołtyk z oświadczeniem żalu z powodu odrzucenia przez Sejm adresu Towarzystwa, którego jest członkiem.

Mochnacki oświadczył, że klub winien o tym fakcie obwieście narodowi przez dzienniki.

Alexander Kraushar.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia domowego szlachty sandeckiej w epoce Wazów.

(Ciąg dalszy).

Do całości strojów niewieścich, zwłaszcza w czasie odwiedzin, biesiad i wesel, należały manele, czyli bransolety srebrne pozłociste lub szczerozłote — także rubinowe i koralowe w złoto oprawne — kanaki (naszyjniki) dyamentowe, rubinowe; róże dyamentowe; zausznice dyamentowe — na szyi sznurki pereł uryańskich, czyli oryentalnych, z zaponką rubinową — obrączki lub pierścienie złote, wysadzane drogiemi kamieniami — noszenie (monile), czyli klejnoty i wogóle wszelkie ozdoby z drogiemi kamieniami, perłami, zawieszane na szyi lub piersiach — rękawice lniane, włóczkowe, łosie i podszyte futerkiem, a nawet perfumowane najprzedniejsze rzymskie — wreszcie pacierze piżmowe w złoto oprawne, czyli gałki wonne do noszenia przy sobie dla woni, rodzaj dzisiejszych perfum.

Ceny robót rzemieślniczych ustanawiał corocznie podwojewodzy sandecki, [1]) wraz z innymi urzędnikami grodzkimi, lub też

[1]) Wojewoda krakowski miał do pomocy w Nowym Sączu swego urzędnika, czyli podwojewodzego (vicepalatinus sandecensis), który go wyręczał w niektórych czynnościach jego urzędowania w powiecie sandeckim. Podwojewodzego wybierał sobie sam wojewoda, podobnie jak podstarościego starosta grodowy.

istniejące na nowo potwierdzał, uzupełniał, modyfikował. Nie dziw przeto, że i taksy krawieckie od roboty ubiorów męskich i niewieścich, były raczej na korzyść wygodnej szlachty, niż pracowitych rękodzielników. Wystarczy nadmienić, że według ustawy z 18. września 1630 pobierali krawcy:

Od delii długiej sukiennej z 12 pętlicami, jedwabną podszewką podszytej 20 gr.

Od uszycia ubrania podkładnego 8 gr.

Od uszycia kołpaka sukiennego 4 gr.

Od żupana prostego nieszurkowanego 10 gr.

Od delii listwowanej 10 gr.

Od kaftana adamaszkowego albo kitajczanego przeszywanego 1 złp. 10 gr.

Od żupanika pacholęcia w lat 12—14, także od delijki 15 gr., a od ubraniczka na takoweż 4 gr.

Od letnika podszytego płótnem z pasamonami 16 gr.

Od spodnicy z pasamonami 15 gr.

Od sukni białogłowskiej z kształtem aksamitnym 15 gr.

Od czamary z pętlicami i pasamonami 20 gr.

Od płaszcza białogłowskiego 20 gr.

Od kołpaka aksamitnego męskiego 6 gr.

Od kopieniaka podszytego sznurkowanego 20 gr.

Od płaszczyka albo mętlika z pasamonami 12 gr.

Od ferezyi sznurkowanej 12 gr.

Od opończy sznurkowanej 15 gr.

Od szarafona albo furmanki z pasamonami 12 gr.

Od delii wyrzynanej z pętlicami, z podszewką sznurkowaną 16 gr.

Podobnie rzecz się miała z obuwiem. Podług tejże ustawy z r. 1630 pobierali szewcy safiannicy:

Od zrobienia butów safianowych [1]) z podkówkami 18 gr.

Od zrobienia baczmag z kapciami [2]) i z podkówkami 18 gr.

Od zrobienia ciżem [3]) safianowych z podkówkami 15 gr.

Od roboty ciżemek pacholęcia w lat 12—14 gr. 8.

---

[1]) Safian turecki bywał koloru żółtego i czerwonego.

[2]) Baczmag — trzewiki na wzór obuwia tureckiego, męskie i kobiece. Kapcie — obuwie męskie zimowe ze skóry na jedną stronę wyprawnej.

[3]) Ciżmy — półbuciki z Węgier przyjęte.

Za półbutki pod kolana na wielką nogę 3 złp., na mniejszą nogę 2 złp. 20 gr.

Szewcy prości:

Buty jałowicze kowane z podkówkami na pacholka 1 złp. 12 gr.

Od podszycia takich butów z podkówkami 16 gr.

Buty proste za kolana woźnicy 1 złp. 6 gr.

Od podszycia takowych butów 18 gr.

Buty proste chłopskie skórnic przednie 1 złp. 20 gr.

Od podszycia takowych butów 16 gr.

Buty kowane pacholęciu w lat 12—15 gr. 20.

Od podszycia takich butów 10 gr.

Buty kozłowe wielkie na wielką nogę 2 złp.

Buty takież na mniejszą nogę 1 złp. 15 gr.

Buty kozłowe jeszcze na mniejszą nogę 1 złp. 6 gr.

Ciżemki pacholęciu w lat 12—15 gr. 10.

Ciżmy męskie z podkówkami dobrego rzemienia 20 gr.: na mniejszą nogę 18 gr.; jeszcze na mniejszą 16 gr.

Trzewiki męskie zawięzowane o dwóch podeszwach 20 gr.

Takież trzewiki na mniejszą nogę 18 gr.; jeszcze na mniejszą 16 gr.

Buty białogłowskie dobrego rzemienia 20 gr.

Takież buty na mniejszą nogę 18 gr.

Od podszycia butów białogłowskich 10 gr.

Trzewiki proste zawięzowane 16 gr.

Takież trzewiki na mniejszą nogę 14 gr.: jeszcze mniejsze 12 gr. [1])

Takie same prawie ceny, z małemi zmianami i dodatkami, spotykamy w ustawie z r. 1625, 1626, 1629, 1638 i 1640. Natomiast ceny w r. 1652 już znacznie podskoczyły w górę.

* * *

A jakiż był tryb codziennego życia tej uprzywilejowanej warstwy narodu? Przez długi szereg wieków tak się u nas warunki bytu składały, że każdy przeciętny Polak musiał być albo rolnikiem albo rycerzem, a był najczęściej jednym i drugim — rolnikiem w czasie pokoju, rycerzem w czasie wojny. Przypatrzmy

---

[1]) Act. Consul. Sandec. T. 52, p. 71—76.

się teraz, choć w ogólnym zarysie, jakim był tryb życia owej dominującej, a najbardziej wpływ wywierającej cząstki naszego społeczeństwa, rolnika-gospodarza.

Było to życie wogóle wygodne. Szlachcic-obywatel pracował niby na polu, czynił to jednak bez osobistego wysiłku — nie jego bowiem ręce orały, siały, ani plonów nie zbierały: cały jego trud rolniczy ograniczał się na kontrolowaniu ekonoma i na popędzaniu chłopa. Rolnictwo nie utrudzało także jego umysłu, gdyż postępowało utartym szlakiem rutyny: syn gospodarzył, jak ojciec, wnuk, jak dziadek. Nieznanemi były dawniejszymi czasy dzisiejsze łamigłówki płodozmianów, leśnictwa, oraz różnych kombinacyi, jakie wytworzyły obecnych czasów przemysłowe gospodarki.

W dawniejszem rolnictwie osobliwym sposobem wszystko sprzyjało lenistwu. I tak n. p. skoro na wiosnę pola zostały obsiane, na tem kończył się zwykle trud właściciela: mógł on wówczas, założywszy ręce, czekać leniwie aż zasiew wzrośnie: nie pozostało mu jeno wyglądać z nieba deszczu i słońca dla pomyślnego urodzaju. Cały czas, od zasiewów wiosennych aż do żniwa, był dla obywatela czasem próżniaczego wypoczynku, czasem, który w każdym razie nie dostarczał mu dostatecznej pracy, mogącej zużytkować jego siły, tak fizyczne, jak umysłowe. Praca jego nie była mu „pracą w pocie czoła“, do której każdy człowiek jest obowiązany, lecz najwyżej zajęciem, a prawdę mówiąc, często rozrywką tylko.[1]) W każdej chwili mógł się od niej oderwać, aby wyjeżdżać na polowania, odwiedzać sąsiadów, dnie i noce spędzać na zabawie, gonić burzliwie z sejmiku na sejmik, lub wreszcie jeździć do miasta, zwłaszcza do ulubionego Krakowa, do Nowego Sącza na kwerele grodzkie, czyli sądy starościńskie, do Czchowa na terminy sądowe ziemskie, lub do Lublina na sądy trybunalskie. Bo nie było prawie szlachcica, któryby nie chadzał do prawa, nie potrzebował oblatować jakiegoś przywileju, munimentu, intercyzy; aktykować czegoś ku wiecznej rzeczy pamięci, manifestować się lub protestować. Wojaczka lub miła hulanka miały go zawsze na zawołanie.

Świetnem też było zdrowie szlachcica sandeckiej ziemi, siły fizyczne olbrzymie,[2]) co zawdzięczał zapewne ustawicznemu prze-

---

[1]) Zob. rozprawę: Jaka jest nasza wada narodowa główna? Warszawa 1905, str. 18—21.

[2]) Niejeden też z nich doczekał się późnej starości. I tak n. p. Jan Dobek z Łowczowa żył od r. 1553—1628, Jerzy Tymowski od r. 1559—1631. A przecież jeden i drugi poniewierał swe zdrowie po

bywaniu na świeżem powietrzu, wśród uroczych lesistych gór i pól, poprzerzynanych srebrzystą wstęgą rzek: Dunajca, Popradu, Kamienicy i Łososiny. Ruch konnej jazdy, trudy łowów, polowanie, a choćby codzienna krzątanina około gospodarki, potęgowały jego apetyt, a dawały mu sen kamienny, czem mieszkaniec miast pochwalić się nie mógł. Że zaś na wsi czasu było zawsze za dużo, a dzień był długi, gospodarz skracał go sobie częstym posiłkiem, całe godziny trwającym, przyczem w towarzystwie sąsiadów złociste miodki, grecka małmazya i wina węgierskie, obfitym lały się strumieniem.

A kiedy już winem rozgrzała się głowa, wtedy rozwiązywała się związka języka. Opowiadano sobie nawzajem anegdoty myśliwskie, ciekawe fraszki i baśnie o średniowiecznych zamkach w Sandeczyźnie z XIII. i XIV. wieku, mianowicie o zamku w Czorsztynie, Gródku, Białejwodzie, Rożnowie, Tropsztynie (Wytrzyskach), Melsztynie, Pieninach i Czchowie nad Dunajcem: o Muszynie i Rytrze (Rytter) nad Popradem, skąd rozbójnicy rycerze (Raubritter) napadali na płynących kupców z towarami Dunajcem i Popradem od strony Węgier. Z pomiędzy wymienionych zamków: czorsztyński, rożnowski, czchowski, melsztyński, muszyński i ryterski, były w niezłym jeszcze stanie 1608 r., inne już w ruinie. O Tropsztynie (Tropstein), naprzeciw kościoła w Tropiu, z drugiej strony Dunajca w Wytrzyskach, krążyła jeszcze w r. 1608 dość głośna pogłoska, że z tego zamku, leżącego na wysokiej skale, napadali na płynących Dunajcem jacyś wojewodzice krakowscy. Nie mogąc na to dłużej patrzeć szlachetni Wydżgowie,[1]) dziedzice

---

dalekim świecie. Pierwszy w sprawach poselskich Rzpltej, drugi w handlowych, i to w czasach, kiedy podróżowanie tak bardzo uciążliwem było.

[1]) W r. 1251 hrabia Wydżga, kasztelan niegdyś z Sącza „comes Wierzgo olim castellanus de Sandec", sprzedaje swą dziedziczną wieś Łącko klasztorowi w Miechowie. W r. 1255 hrabia Gedko, kasztelan sandecki z bratem Wydżgą „comes Gethca, castellanus de Sandech cum fratre Wichga", przychodzą jako świadkowie przywileju zamiany połowy Nieszkowej przez Bolesława Wstydliwego na wieś Biczyce z Henrykiem, przeorem miechowskim. Piotr Wydżga (Wiczga) był starostą sandeckim 1354—1358. (Kod. dypl. małopol. II. 84. 102. III. 94, 122). Po założeniu Nowego Sącza 1292 r., przez Wacława króla czeskiego, księcia krakowskiego i sandomierskiego, kasztelanowie sandeccy przenieśli w XIV. wieku ze Starego do Nowego Sącza rezydencyę swoją.

Rożnowa, oblegli zamek tropsztyński i zburzyli go, a tym sposobem położyli koniec rozbójniczym napadom. [1])

W takich przyjacielskich gawędach sadzono się też na różne dyskursy, okraszone nieraz sporą dozą dowcipu, choć nie zawsze odpowiedniego, a raczej rubasznego. I nie dziw, bo to według ówczesnego przysłowia:

Hungaricum vinum — Est donum divinum,
Dum hilarat mentem — Facit eloquentem.

Jadło się też dużo: tłusto i sosisto, bo pokarm znakomicie się trawił, a to tem bardziej, że był starannie przyrządzony przez żony-gosposie, które, nie znając trudów książkowych, mogły się wyłącznie oddawać usługom spiżarni i kuchni, obok szycia bielizny i haftowania, zwanego wówczas szyciem wzorzystem. Do ulubionych potraw, oprócz jarzynnych, mącznych, owocowych, należały przedewszystkiem: barszcz, z mięsem wieprzowem, kiełbasą, kurą: grochówka, czyli zupa z grochu, ze słoninką wędzoną: rosół, zupa migdałowa; kiełbasa, pieczeń wołowa, cieleca, wieprzowa, z dziczyzny lub ptactwa; szołdry, czyli szynki wędzone, sztuka mięsa, bigos hultajski, kiszki, zrazy z tatarczaną kaszą: jajecznica, szczuki, czyli szczupaki, łososie, ryba smażona z kapustą. To wszystko sprzyjało zapewne zdrowiu i siłom, myśli jednak nie kształciło — a pozwalało nadmiernie rozwijać się ciału kosztem ducha.

Skracano sobie jeszcze czas jeżdżeniem na jarmarki, nie tylko do obydwóch Sączów, Muszyny i Limanowej, do Czchowa, Wojnicza i Tarnowa, do Gorlic, Grybowa i Bobowej, lecz także puszczano się w dalsze strony: do Krakowa, Jarosławia, a nawet Lublina. Pochłaniało też niemało czasu odwiedzanie sąsiadów, co czyniono często, z okazyi chrztów, ślubów, imienin i pogrzebów, bez względu na znaczne odległości sąsiedztw. Te zaś odwiedziny nigdy krótko trwać nie mogły, gdyż urozmaicały je zabawy nieraz kilkudniowe lub kilkutygodniowe.

---

[1]) Notandum de arce devastata Tropstein. Haec arx ex adverso istius ecclesiae in Tropie, ex altera parte fluvii Dunajec sita. In eadem arce fuisse olim quosdam Pallatinides Cracovienses, alias Wojewodki dictos, qui piratas agebant et praetereuntes in fluvio Dunajec infestabant. Unde postea ventum est, quod nobiles quidam Wyżgowie haeredes in Rożnow illos invaserint et arce destructa, in nihilum redigerunt, illosque expulerint, et ita ruinae saltem apparent. Haec arx in rupe alta erat posita. (Visit. Ecclesiar. 1608 per Joannem Januszowski, archidiac. sandec. Tom XXV., w archiw. kapitul. przy kat. krakow.).

Nie wszystkich jednak tą samą miarą mierzyć należy. Bywali pomiędzy panami sandeckiej ziemi i tacy, co w chwilach spokoju, wolnych od wrzawy wojennej, czytywali chętnie dzieła autorów polskich. Mianowicie ks. Piotra Skargi S. J. owe nigdy niespożyte Żywoty Świętych — ks. Jakóka Wujka S. J.: Postyllę katolicką, czyli wykład Ewangelii na niedziele i święta — Mikołaja Reja: Wizerunek własny żywota poczciwego człowieka — Jana Kochanowskiego: Psałterz, czyli psalmy Dawida, przełożone przez niego na język polski, pięknym niezrównanie wierszem — Marcina Bielskiego: Kronikę Polski — Szymona Syreniusza: Zielnik z łac. herbarzem zwany — Bartosza Paprockiego: Ogród królewski — ks. Jana Januszowskiego: Naukę umierania chrześciańskiego — ks. Waler. Andrzejowicza: Ogród różany — St. Ząbkowicza: Młot na czarownice — wreszcie ks. Przecława Mojeckiego: Żywot bł. Kunegundy.[1]) Prócz tego inne jeszcze, dziś nieznane książki, jak Zwierciadło przykładów — Pacierza wykład — Doktorski gwintowny regiment — Sprawiedliwy Józef — Przeciw powietrzu nauka — Rozmowa koło religii i polskiej korony — Zwierciadło bez szkła złociste.

Obok literatury polskiej, znajdujemy też dzieła łacińskie, jak n. p. Antonii Murae: Medica — Leonardi Fuchsii: De historia stirpium — Guilelmi Rondeletti: Curandi morbos methodus — Scribonii Largi medici: De compositione medicamentorum — Misaldi: Historia Hortensium — Joannis Meznae: Antidotarium — De conservanda bona valetudine — Epitome Galeni — Figurae Antonii Rampeloi — Synonima Simonis Gennensis — Vehaeri: Antidotum.

Trafiały się i niemieckie książki, przeważnie lekarskiej treści. Można z tego wnioskować, że i apteczka domowa nie była w zapomnieniu, która oczywiście, przy ówczesnej rzadkości lekarzy i znaczniejszej odległości od grodowego miasta,[2]) walną mogła oddawać przysługę.

To rozczytywanie się w dziełach autorów polskich, zwłaszcza z okresu złotego wieku literatury (Skargi, Kochanowskiego, Reja), wywierało niemały wpływ na wykształcenie ojczystej mowy. To też język polski, który od wstąpienia dynastyi Wazów (1587),

---

[1]) Wymienione dzieła, o ile ich autorowie znani są w bibliografii polskiej, wydane w latach 1560—1617

[2]) Oprócz chirurga, cyrulika i aptekarza, nie znano wówczas w Nowym Sączu innego lekarza.

pojawiał się już coraz częściej w aktach grodzkich i miejskich sandeckich, był nierównie lepiej wyrobiony i wypolerowany, niż po innych grodach na Rusi Czerwonej.

* * *

Stan oświaty wogóle z początkiem XVII. wieku przedstawia się wcale pomyślnie w sandeckiej ziemi. Ks. Jan Januszowski, archidyakon kollegiaty sandeckiej, który w czasie swej wizyty 1608 r. z taką dokładnością opisał pojedyncze kościoły parafialne w całej Sandeczyźnie, nie pominął też zakładów naukowych i przekazał nam o ówczesnem szkolnictwie cenne zapiski w relacyach swoich. Głównem ogniskiem oświaty dla młodzieńców były dwie szkoły w Nowym i Starym Sączu, zostające pod bezpośrednim nadzorem dydaktycznym i pedagogicznym miejscowego duchowieństwa, a w wyższej instancyi Akademii Krakowskiej. W jednej i drugiej był nauczycielem „bakałarz nauk wyzwolonych i filozofii“, uzdolniony do tego poprzednio w Akademii Krakowskiej. [1]) Przedewszystkiem w tych szkołach kładziono nacisk na wykształcenie religijno-moralne, wpajano zatem w umysły młodociane pobożność i bojaźń Bożą, która jest początkiem mądrości: posłuszeństwo względem rodziców i przełożonych: uległość i uszanowanie dla starszych, zwłaszcza duchownych; zamiłowanie pracy i przestawanie na małem: a źródłem tego była powszechna religijność, wpływ matki, która czuwała nad moralnością, skromnością i przyzwoitością dzieci.

Do programu przedmiotów szkolnych należało czytanie, pisanie, nauka religii podług katechizmu Jakóba Ledesmy S. J. lub Roberta Belarmina S. J., biblijnej historyi, rachunków, a głównie języka łacińskiego. Stąd też znajdujemy, że z pomiędzy starożytnych klasyków czytano tam: Virgilii lib. X. Aeneidos — Flores poetarum — Justini lib. IV. — Ciceronis epistolas familiares et alia, tłumacząc je przytem na polskie, rozbierając gramatycznie pochodzenie słów i składnię zdań. Równocześnie z tymi przedmiotami

---

[1]) Był nim wtenczas w Now. Sączu: Joannes Kurowski Opatoviensis, clericus academicus, a 5 annis in baccalaureum promotus, a 2 annis in rectorem scholae per consules sandecenses institutus. W Starym Sączu zaś: Baltasar Borszowic, artium et philosophiae baccalaureus, Cracoviae promotus sub decanatu M. Martini Plocensis 1607.

rozpoczynała się nauka łacińskiego śpiewu kościelnego, uważana w owych czasach za nieodzownie potrzebną do wykształcenia: ta jednak miała raczej służyć do uświetnienia nabożeństw kościelnych, niżeli do obudzenia w duszy zamiłowania do sztuki lub estetycznego poczucia piękna i harmonii. Obok śpiewu uczono także muzyki na skrzypcach i flecie, bo te dwa instrumenta były wówczas najbardziej lubiane i używane. Cała więc powyższa nauka miała przeważnie na celu wzbogacenie wiedzy i rozwinięcie umysłowe, lecz obok tegoż zwracano również jak największą baczność na dobre obyczaje i umoralnienie chłopców, względem czego nauczyciele mieli osobne ścisłe polecenia. Nielicznie jednak uczęszczała młodzież do tych przybytków Muz. Liczba młodzieńców szkolnych w Nowym Sączu wynosiła 100:[1]) w Starym Sączu zaledwie 40.[2])

W Nowym Sączu budynek szkolny (przy ulicy św. Ducha w pobliżu kollegiaty), do którego przylegał niewielki owocowy ogród, składał się z siedmiu izb. Wielka izba i cztery mniejsze przeznaczone były dla młodzieńców szkolnych, po jednej izbie mieli dla siebie na mieszkanie bakałarz i kantor, czyli nauczyciel śpiewu, który nie tylko co sobota w szkole, lecz także w kościele był kierownikiem śpiewu w czasie nabożeństw, przyczem ubierał się w togę i dzierżył w ręku stypułę, czyli srebrną kantorowską laskę.

Bakałarz szkoły nowosandeckiej, sprowadzany z Krakowa przez rajców miejskich, miał utrzymanie, jak na owe czasy, wcale dostateczne. Pobierał bowiem kwartalnie od rajców po 4 grzywny, czyli po 6 złp. 12 gr., z tego jednak musiał dawać po 2 złp. kantorowi, a po 2 złp. swemu suplentowi (hypodidascalo), który mu pomagał w szkole. Prócz tego dostawał od rajców kolendy na św. Marcin grzywnę (48 gr.), na Trzech Króli 8 złp., a 1 złp. od księży wikarych, za wyuczenie chłopców ministrantury, czyli sposobu służenia do mszy. Za odśpiewanie officium defunctorum przy nabożeństwach żałobnych, otrzymywał także pewną należytość od księży wikarych. Od młodzieńców szkolnych dostawał kwartalnie

[1]) Rector scholae (Joannes Kurowski) pueros, quos ad 100 habet, docet et instituit per classes satis egregie, sollicite et cum fructu animae et morum, cum ipse solus et bene doctus, et bene moratus et disciplinae sit amans.

[2]) Rector scholae (Baltasar Borszowic) pueros ultra citra 40 instituit. Adolescens bonis moribus praeditus, diligens, exemplaris sine querela. — Późniejsza wizyta biskupia z r. 1635 podaje ich cyfrę fere 60.

ogółem po 10 złp. Ogólna zatem jego roczna pensya (oprócz nabożeństw żałobnych, których obliczyć nie można), wynosiła 60 złp. 6 gr. Do tego otrzymywał obiady kolejno od pięciu zamożnych mieszczan. Przed objęciem swego urzędowania szkolnego, wykazywał się świadectwem nauk akademickich, i składał zarazem wyznanie wiary.

Istniały też podówczas szkoły parafialne dla chłopców w Limanowej, Piwnicznej, Muszynie, Podegrodziu, Jazowsku, Łącku, Pisarzowej, Chomranicach, Ujanowicach, Mystkowie, Kamionce, Nawojowej, Biegonicach, Żeleźnikowej i Barcicach, ale nauczyciele tych szkół, czyli rectores scholae, nie posiadali akademickiego wykształcenia, i nie uczyli nic więcej, oprócz czytania, pisania i śpiewu. Wspomina jeszcze ks. Januszowski o szkole parafialnej w Kamienicy, Czarnympotoku, Łukowicy, Przyszowej, Jakubkowicach i Zbyszycach, ale w tych miejscowościach nie było żadnych nauczycieli. [1])

Wychowanie córek odbywało się wyłącznie w domu pod dozorem matek, bo szkoły publicznej dla dziewcząt nie było żadnej. W wychowaniu ich bowiem nie chodziło o rozwinięcie w nich wyższych zdolności, lecz o przygotowanie na dobre gospodynie i matki, a więc o nabycie niezbędnych wiadomości gospodarskich, kuchennych i robót kobiecych, których uczyły się w domu od matek pod ich kierunkiem i dozorem. Jedynym zakładem wychowawczym dla dziewcząt, była wzorowa szkoła klasztorna Klarysek w Starym Sączu. Kształciła się w niej między innemi sławna Maryanna Marchocka, córka Pawła Marchockiego, starosty czchowskiego i Elżbiety z Modrzejowskich, późniejsza Karmelitanka [2]) (Teresa od Jezusa Marchocka), fundatorka dwóch Karmelów: we Lwowie, gdzie dziś seminaryum łacińskie, i w Warszawie.

---

[1]) Visit. Ecclesiar. 1608. Tom XXV.

[2]) Urodzona w r. 1603, do zakonu wstąpiła w Krakowie przy kościele św. Marcina (dziś zbór ewangelicki) 26. kwiet. 1620, zmarła w Warszawie 19. kwiet. 1652 r. Zob. rzadkie dzieło in folio Karmelity Onufrego ab Assumptione B. V. M. (Ośmielskiego): Ozdoba Karmelu Zakonnego... którego tom IV. ma jeszcze osobny tytuł: Konterfekt życia przykładnego... Kraków 1747. — Świeżo wyszedł obszerny żywot Marchockiej: Vie et vertus héroiques de la Mère Térèse de Jésus Marchocka, carmélite déchaussée de Pologne, fondatrice des couvents de Léopol et de Varsovie (1603—1652). Lille-Paris-Bruges 1906.

ROZDZIAŁ II.

Wbrew prawu o wadze i łokciu.

Konstytucye sejmowe w r. 1505 i 1633 orzekły wyraźnie, że szlachectwo swe traci, kto się trudni rzemiosłem lub handlem.[1]) Tych jednak uchwał, jak wiele innych, nie bardzo przestrzegano lub je omijano dowolnie. Złota wolność szlachecka nie lubiała snadź krępować się paragrafami uchwał sejmowych: same zresztą ekonomiczne stosunki lub chęć zysku zniewalały ją poniekąd do wyłomu w tem prawie. To też znajdujemy nierzadkie przykłady, że w pierwszej połowie XVII. wieku niektórzy panowie szlachta wchodzili z Jerzym Tymowskim w spółki handlowe wina i sukna, a przecież przez to nie tracili szlachectwa i piastowali nadal urzędy grodzkie, jak dowodzą umieszczone poniżej kupieckie zapiski.

1. Andrzej z Zakliczyna Jordan w Strugach i Chochorowicach, komornik graniczny (1618—1643). Na wzór podgórskiej szlachty, chodził w karazyi białej, czerwonej i lazurowej. Brał też na ubranie falendyszek brunatny lub sukno czerwone morawskie. W r. 1609 zmarł jego krewniak, Adam Jordan z Zawady. Wziął więc na żałobę 11 łokci sukna czarnego po 18 gr.[2]) Na stypę pogrze-

---

[1]) Volum. Leg. T. 138. III. 382.

[2]) Ponieważ w tym rozdziale i następnych znachodzi się często wzmianka o monecie polskiej, dlatego podaję na tem miejscu, jaki kurs miała, i jak się jej wartość zmieniała w epoce Wazów:

a) Czerwone złote, w r. 1598 czerw. złoty = 1 złp. 28 gr.; 1600 = 2 złp.; 1607 = 2 złp. 5 gr.; 1611 = 2 złp. 10 gr.; 1618 = 2 złp. 17 gr.; 1621 = 2 złp. 15 gr.; 1624 = 4 złp.; 1828 = 6 złp.; 1632 = 5 złp. 15 gr.; 1639 = 5 złp. 28 gr.: w latach 1640—1648 szły po 6 złp.; 1649—1662 szły po 6 złp. do 6 złp. 15 gr.

b) Talary pojedyncze, w r. 1598 talar = 1 złp. 6 gr.; 1611 = 1 złp. 10 gr.; 1620 = 2 złp.; 1625 = 2 złp. 15 gr.; 1630—1648 szły po 3 złp. — Talary twarde albo bite, czyli imperyały (imperiales) w latach 1640—1648 szły po 3 złp.; 1649—1661 szły po 3 złp. 15—18 gr. — Talary kopowe w r. 1620 po 37 gr.: w r. 1648 po 54 gr.

c) Orty (ortones). Ort był czwartą częścią talara. Liczba groszy, którą zawierał, zmieniała się z kursem talarów. W pierwszych latach panowania Zygmunta III. szły orty po 10 gr., pod koniec zaś jego

bową brał funtami rozmaite korzenie: cukier, kwiat muszkatowy, rodzynki drobne, stokłoskę, cytwar, korzeń fiołkowy, dyptan, pieprz, gałgan, bobek i mirę.

Odtąd niema o nim wzmianki aż w r. 1615, kiedy wszedł w spółkę win z Jerzym Tymowskim. Zakupili w Torysie u Peregryna Istwana 24 beczki po 100 talarów węgierskich. Spławiano je do Warszawy Dunajcem i Wisłą w pierwszych dniach października. Popłynął z niemi pan Jordan, Tymowski zaś wysłał syna swego Józefa, któremu dał na drogę legumin za 50 złp. i gotowych pieniędzy 20 złp. Nieoznaczona jest kwota, po której je tam sprzedawano, w każdym razie musiał być zysk niezawodnie znaczny dla obu wspólników, tem bardziej, że koszta transportu wodą były daleko tańsze, aniżeli na wozach.

Od tych ulubionych zajęć gospodarskich i handlowych odrywały go raz po raz sprawy urzędowania jego, odkąd został komornikiem granicznym, a bardziej jeszcze wojna turecka pod Chocimem. Obrany porucznikiem husarskim powiatu, wyprawił się 27. września 1621 r. z pospolitem ruszeniem na Ruś, pod wodzą Sebastyana Lubomirskiego, starosty grodowego, bo Zygmunt Tarło, kasztelan sandecki,[1]) wymówił się od tego zaszczytnego zajęcia, z powodu niesposobnego zdrowia.

W r. 1622, odebrawszy pan Jordan na siebie część dziedziczną Tęgoborzy, płacił zbożem za karazyę i dawne długi, mianowicie dał pszenicy na słód wierteli[2]) 6 po 70 gr., mąki pszenicznej wiertel za 70 gr., żytnej 3 wiertele także po 70 gr. Pożyczył nawet Tymowskiemu 50 złp. samymi trojakami. Wkrótce jednak wybrał i nadebrał jeszcze swoją pożyczkę, bo wziął od kupca 27 talarów celnych i talar złotowy, co uczyniło 69 złp. Wziął też karazyi zielonej 10 łokci po 36 gr., a na ubranie sukna czerwonego po 26 gr. i breklestu po 3 złote. Dał na to 10 złp. i wiertel siemienia konopnego za $1\frac{1}{2}$ złotego.

---

rządów (1629 r.) po 16 gr. Taki sam kurs miały za Władysława IV. (1638 r.), lecz za Jana Kazimierza już po 18 gr.

Podług stałej rachuby: 1 złp. = 30 gr. (grossi); 16 szelągów (solidi) szło na 1 grosz; 1 grzywna (marca) = 48 groszom. Ze złota bito czerwone złote, czyli dukaty. Ze srebra talary, orty i grosze. Z miedzi szelągi.

[1]) Piastował tę godność od 23. kwiet. 1613 do † 7. września 1628 r.

[2]) Od niem. viertel — ćwierć, czwarta część korca.

W r. 1624 zawarł powtórną spółkę win z Jerzym Tymowskim. Kupili w Krużlowej pod Grybowem za 3.239 złp. 41 beczek po 79 złp. od Marcina Kopcia z Grybowa. Pan Jordan dał do tej spółki gotówką 1.000 złp., a resztę obowiązał się oddać niebawem, sprzedawszy wina własne lub też nowo kupione wspólne. Sprowadziwszy je do Nowego Sącza, dodali po 10 beczek, co mieli w domu, i zebrało się ich 61, z których jedna szła na dolewkę. Jejmość pani, Zuzanna z Kuczkowskich Jordanowa, sama trudniła się dolewką, a jak trzeba było, to kazała dokupić kilka garncy od kupca, Stanisława Pełki. Panowie rajcy zrobili początek drobnej sprzedaży tego wina, a Tymowski ugościł najprzód pana Zygmunta Stradomskiego, z którym wypił półgarncówkę. Odtąd panowie Stradomski i Adam Tabaszowski bardzo uczęszczali do Tymowskiego, począwszy od 29. czerwca. Towarzyszył im wiernie ks. Jan Ptak, pleban ze Siedlec, a Tymowski, rad nie rad, musiał też pić z nimi półgarncówką. Na jedno posiedzenie wypili tak $2^1/_2$ garnca. Przed jarmarkiem na św. Małgorzatę, zjechawszy się znów Tabaszowski z ks. Ptakiem, przy pomocy pana Depskiego, który dał kwartę, i Jerzego, który jako gospodarz swoją kwartą rozpoczął, wypili ni mniej ni więcej tylko $3^1/_2$ garnca. Pan Wodzisław Jordan z Tymowskim 3 garnce; tyleż wypili w dzień św. Małgorzaty panowie Jan Strowski i Tabaszowski; panowie zaś Jan Wojakowski i Mikołaj Domaradzki już skromniej, bo wraz z Tymowskim ledwie 2 garnce wzwyż. Pan Samuel Gołuchowski po kilkanaście garncy brał w ogromne cynowe flaszki; ks. Ptak z Siedlec po kilka; ale najwięcej sam pan Jędrzej Jordan: w lipcu wziął $25^1/_2$, w sierpniu 16, i tak co miesiąc do 20 garncy. Część wypijał w miejscu z panem Stradomskim, Tabaszowskim i Wojakowskim, a nawet kilka razy z panią Kopciową. Z pierwszych części rozpoczętych beczek wypił $81^1/_2$ garnca. Kozacy waleczni i komornik króla Jegomości, wzywający na pospolite ruszenie przeciwko królowi szwedzkiemu, Gustawowi Adolfowi,[1]) także się tam pozbyli pragnienia.

---

[1]) Od chwili wstąpienia na tron polski Zygmunta III. w r. 1587, stosunek między Polską a Szwecyą był wciąż nieufny. Wojna tlała, wybuchała i znów chwilowo gasła. Trwało to z przerwami aż do r. 1629, kiedy Stan. Koniecpolski, wojewoda sandomierski i hetman polny koronny, odniósł zwycięstwo nad Gustawem Adolfem pod Trzcianną (w Prusiech zachodnich).

Panie nawet nie gardziły szlachecko-mieszczańskiem wspólnem winem. Jejmość pani starościna Lubomirska raczyła sama nawiedzić panie: Wierzbięcinę. Wojakowską. Stradomską, Błędowską, Gładyszową i Zawadzką; a pani Jordanowa, jako współwłaścicielka, kazała grzać wino w izbie swej dla niewieścich gości swoich, albo z kupcem Tymowskim w poważnej rozmowie o kupi i molach futrzanych wypiła 3 kwarty, a panią Wierzbięcinę, przyjaciółkę starościny, raczyła kwartą, podczas kiedy pan Jordan do panów z półgarncówki przypijał. W ten sposób pan Wojciech,[1]) brat Tymowskiego, wyszynkował 11 beczek.

Te jednak wina, których przywóz z Krużlowej do Sącza kosztował po 1 złp. od beczki, zawiodły nadzieje i oczekiwania. Wprawdzie sprzedawano je okolicznej szlachcie, do Krakowa, Mogiły i Wieliczki beczkami w cenie po 80 do 106 złp., a więc z zyskiem dochodzącym do 32%, lecz wogóle dla obu spólników okazał się zysk bardzo mały. Tymowski, mając częstych gości u siebie, wypijał sam niemało, przypijając do nich według obyczaju. O klasztorach, mianowicie o Franciszkanach i mniszkach Kletkach vulgo Klepkach, pamiętał także: nawet mamce swej, sprawiając wesele, dał 1½ garnca wina. Bardzo wiele również kosztowały bezpłatne częstowania, które brat jego Wojciech, zapisując do księgi, nie zapomniał nigdy naznaczyć krzyżykiem (+).

---

[1]) O krewniakach Jerzego Tymowskiego niewiele znam szczegółów. W r. 1600 figuruje Augustinus Thimowski Oppidanus Grebovien-sis. Dnia 9. maja 1601 installował się na probostwo w Chomranicach ks. Marcin Tymowski, gdzie bezpośrednio przedtem był ministrem aryańskim sprofanowanego tamże kościoła: Stanisław Farnowski, a przed nim jeszcze Jan Patrycyusz. Venerabilis Martinus Augustini Tymowski Greboviensis, praesentatus 17. Aprilis 1601 et 9. Maji 1601 installatus plebanus in Chomranica. Successit in locum Stanislai Farnesii ministri, quem antecesserat Joannes Patricius. (Visit. Eccles. 1608). Stanisław Tymowski z Grybowa pomagał nieraz w handlu (1613—1622) bratu swemu Jerzemu. Tak samo inny brat, Wojciech Tymowski, który był później ławnikiem sandeckim 1640. Jan Tymowski, syn Jerzego, spadkobierca kamienicy w rynku oraz folwarku z ogrodem na przedmieściu większem, czyli węgierskiem, kształcił się naprzód w szkole sandeckiej, następnie w Akademii Jagiellońskiej 1639—1645, zamianowany tamże bakałarzem wyzwolonych nauk. We wrześniu 1649 r. przywieźli go rajcy sandeccy z Krakowa kolasą miejską, ażeby w swem rodzinnem mieście kierował edukacyą młodzieży szkolnej. (Hist. Now. Sącza T. II. 221—222).

jakby żegnając się z pieniędzmi na zawsze: także litkupy[1]) daremne, kupującym dawane, wynosiły wiele, a przytem i o dawnych znajomych również trzeba było pamiętać. Lecz najwięcej przyczyniło się do straty, że wina co podlejsze skwasniały, tak że wszystkiego zysku okazało się tylko 98 złp. i beczka wina, czyli razem 200 złp., a więc zaledwie $5\frac{1}{2}\%$. Dlatego też pan Jordan, zwalając całą winę na Kopcia, który zaręczał zysk odpowiedni tak znacznemu kapitałowi („iściźnie“), wynoszącemu dla każdego wspólnika po 1.800 złp., zatrzymał na swą stronę 400 złp., zapisując je własnoręcznie na Kopcia do księgi kupieckiej. Prócz tego nie obeszło się bez innych przykrych zajść i wydatków, albowiem poddani pana Jordana ze Strug, przyjechawszy po wino do Krużlowej, gdzie Kopeć miał swoje piwnice i składy, pospuszczali konie na paszę, z czego przyszło do kłótni i krwawej bójki z miejscowymi, aż Tymowski, łagodząc sprawę, zapłacił za paszę i krwawe guzy 1 złp. 15 gr.

Ks. Jan Sygański T. J.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) Od niem. Leikauf, Leitkauf — poczęstunek przy kupnie i sprzedaży. Zwyczaj litkupu znany był przy kontraktach kupna od XIV. w. Zob. Przemysł. Dąbkowski: Litkup, studyum z prawa pol. Lwów 1906.

MATERYAŁY
do historyi polskiej XIX. wieku.

Działalność emigracyi z roku 1831 na terenie Turcyi do pokoju Paryskiego.

(Ciąg dalszy).

6. paźdz. 1843.[1])

Statek z Kustendży nie przywiózł żadnej wiadomości od p. R. On sam mnie o tem uprzedzał, że będąc zajętym rozmowami na jarmarku w Nekrasie, nie będzie mógł do mnie pisać tym statkiem. Poznałem się z Hassan-bejem, rządcą głównym Niżu, tak w tej wizycie rozmawialiśmy, że mnie oświadczył wszelką pomoc dla mojego agenta nawet do tego stopnia, iż powiedział, jak mu trzeba pieniędzy, to mu każ do mnie się udać — na twoje polecenie wszystko zrobię — powiedziałem, że jestem Polakiem i że trzymam agenta dla interesów Czyflika. Zapragnął, bym na zimę przyjechał na Niż na polowanie i żałował, że niema dość czasu, by pojechać do mnie w gości na Czyflik, ale powiedział, że jak ja przyjadę na Niż, to on do mnie później przyjedzie

---

[1]) Rps. 5486. Bibl. XX. Czartoryskich w Krakowie.

na Czyflik, zgoła, że byłem bardzo rad pod wszelkimi względami z tej wiadomości. Zapewne, że pojechanie na zimę na Niż byłoby nader ważną rzeczą, ale na to trzeba pieniędzy, a tych w kasie niemasz. P. Raw. poleciłem jak najgoręcej Hassan-bejowi i ułożyłem z nim korespondencyę przez czas zimowy — ponieważ statki parowe do końca marca od początku listopada chodzić nie będą. To zapoznanie się z Hassan-bejem uważam za nader ważne, o ile mogłem w jednem widzeniu się, które trwało ze 2 godz., obznajomiłem go z imieniem X. Pana i z imieniem Polaków — do czego mi służył Czyflik. On nie tyle co inni nieświadomym jest o sprawie polskiej, ponieważ urodził się w Niżu, tam wzrósł i mowi po kozacku.

6. grudnia 1843. [1])

Jedna z najsmutniejszych klęsk spotkała sprawę. P. Rawski w czasie niebytności Hassan-beja został widać oskarżony przed władzą turecką, uwieziono go i po 6 dniach z więzienia za przybyciem Kadego (sędziego) wypuszczono — zapowiadając mu, żeby nie przesiadywał w ajanlikach [2]) Babadach, Tulcza, Isakcza — właśnie, gdzie przebywają kozacy. P. Rawski udał się do Kustendży, a ztamtąd przez Warnę przybył do Stambułu. Powiada, że w czasie jego więzienia robiono śledztwo, ale to nic nie wykryło — w czasie tej nieszczęśliwej przygody kozacy okazywali mu wiele przychylności. Dyrekcya statków parowych z Kustendży natychmiast dała wiedzieć do agenta konsularnego francuskiego we Warnie — ten zrobił swoje kroki do władz tureckich — ale to na nic się nie przydało, bo już p. Rawski był wolny. Nie wiem, czy nie była w tem sprawka moskiewska, gdyż urzędnik Raszyd, który go kazał więzić, jest Mołdawianin, renegat, nieużywający bardzo dobrej reputacyi. P. R. roztropnie zrobił, że pojechał do Warny, by przeciąć gadania i zachody koło tej sprawy — gdyż publikacya byłaby dla sprawy szkodliwą. P. R. powiada, że stosunek z kozactwem nie został bynajmniej odkrytym, że już po opuszczeniu więzienia widział się z rozmaitymi ludźmi, którzy go zapewniali o swojej przychylności i wierności. W całej tej nieszczęsnej przygodzie p. R. postąpił roztropnie, zapewne, że lepiej

[1]) Rp. 5486. Bibl. Czart. w Krakowie.
[2]) Nie jestem pewny dobrego przeczytania.

by zrobił, żeby był został na zimę w Kustendży, a mnie o wszystkiem doniósł, ale impresya, pod jaką zostawał, stracenie wszystkich pieniędzy a nawet i konia z rynsztunkiem na opłacenie posyłek do Kustendży i Warny — tłumaczą jego powrót. Na przyszły statek przyszlę sporządzone opowiadanie p. R. teraz tylko, ile z opowiadania wnosić mogę — kozactwo jest zawsze do wzięcia i cały stosunek z nimi był może za nadto nawet ostrożnie prowadzony, co wcale nie jest złe na ten wypadek. Napisałem natychmiast małą notę i podałem Sasimowi Ef. Pokazywałem ją p. de Boucq., który ją znalazł bardzo dobrą i właściwą — posyłam jej kopię. Pisałem także list do Hassan-beja. Czekając wyjaśnienia tej rzeczy, posyłam p. R. na Czyflik — by tam sporządził notaty i odszedł z niedobrej impressyi. Jeśli ta impressya nie zniszczy się w umyśle p. R., nie będzie on dobrze mógł spełniać obowiązku na Niżu. Jednak zdaje mi się, że powinien tam choć na chwilę wrócić, żeby zniszczyć niedobre wrażenie, jakie jego uwiezienie mogło sprawić na kozactwie — poczem może nawet powrócić do Francyi, jeśli inaczej nie można będzie, na jego charakter i patryotyzm można rachować, że nie wyda tajemnicy. Trzeba szukać innego człowieka, naprzykład pana tego z Wersalu, o którym mówił Bystrzonowski albo Baranowskiego z Lyonu, który był wachmistrzem w naszym pułku, a do którego posyłam list — wywiedzieć się o nim, a potem go sprowadzić do Paryża i mówić. Teraz nie można inaczej zrobić, tylko wydzierżawić jaki futor od Turka i tam gospodarować — najlepiej wydzierżawić go od Hassan-beja. Za ilebym czasu bawił na Niżu, to połowę mojej pensyi w ten futor bym włożył — agent Niżu włożyłby z góry połowę pensyi. Z kasy publicznej Książę Pan najwięcej przyłożyłby się do tego $1\frac{1}{2}$ tys. franków, które będziemy się starali uważać jako pożyczkę, winną nazad wpłynąć do budżetu. To jest jedyny na ten raz sposób osadzenia się na Niżu. Gdyż o tem ani myśleć, że Turcy pozwolą nam przed czasem organizować kozaków — dosyć, że nas będą tolerowali. Czekam decyzyi Ks. Pana w tej mierze — jednak przed jej odebraniem wszystko co tylko w mojej mocy, będę robił w tym sensie.

Sasim przyjął bardzo uprzejmie notę, kazał ją przetłumaczyć i obiecał dać Rizie. List do Hassana posłałem przez jego pełnomocnika tu bawiącego p. de Boucq. zapewniłem, że życzę, aby to się nie rozgłaszało. Przyznać muszę, że zastałem p. de Boucq. usposobionym do upomnienia się za nami — wziął odemnie kopię

listu — przyrzekł zrobić użytek i zachować jak najwyższą tajemnicę względem mojego stosunku z Sasinem, o którym zresztą nic więcej nie powiedziałem, tylko, że go znając, sądziłem rzeczą przyzwoitą do niego się zgłosić.

16. grudnia 1843.[1])

Rawski na Czyfliku dotąd nie sporządził swojego zdania sprawy, nie może przyjść do siebie, więzienie na nim zrobiło wrażenie, jednak mniemam, że w górach osady opamięta się. Nie mam jeszcze żadnej odpowiedzi od Hassan-beja — dopiero tą pocztą w przyszły poniedziałek mogę ją mieć. Oto jest mój plan. Jak tylko odbiorę odpowiedź, zaraz Josza dragmana z Rawskim wyszlę statkiem żaglowym do Warny, ztamtąd pojadę do Kustendży i Babadach, będę się starał nająć czyflik jaki, to jest wziąć w posesyę, jeśli można u samego Hassan-beja. Czyflk taki, żeby można zrobić ogrod, mieć maleńką chałupę i zasiać trochę jęczmienia a przytem mieć wypas. — Po odebraniu wiadomości, że znaleźli, natychmiast tam pojadę, zabiorę ze sobą dwa ogiery ze Stambułu, a tam nająwszy czyflik, kilka kupię klaczy, tym sposobem zaprowadzi się *un établissement*, ktore będzie miało dobry pozor naszego pobytu na Nizie. Innym sposobem nie można sztucznie osadzać się na Niżu, a to rzecz koniecznie potrzebna — bo stracimy ten wpływ, jakiśmy tam zyskali, a ten wpływ musiał być skuteczny, kiedy w monasterze ofiarowano Rawskiemu urząd Tytara (opiekuna) Monasteru. On tego nie przyjął przez dziecińżstwo, żeby się nie kłaniać popowi w cerkwi. Imię Księcia Pana chciano w cerkwi czytać na miejscu imienia św. Mikołaja. Kozactwo całe nas zna — wszystko to szkoda tracić i to jest istotnie punkt główny naszego działania — droga nasza do kraju. Tam sami osadzić się musimy — gdybyśmy przyszli do największego zaufania Francyi i Turcyi. — Na Niżu za ich opieką i pomocą osadzić się możemy. Natura naszego działania, jest przez Niż konspirować w Ces. rossyjskiem. Lud Niżu podnieść i wziąć ze sobą na żołnierzy. W pierwszym razie Fr. lub Tur. opiekując się nami, złapane byłyby przez Moskwę na gorącym uczynku. W drugim razie grozilibyśmy wyludnieniem Niżu. Turcy, którzy najwię-

[1]) Rp. 5486. Bibl. Czart. w Krakowie

cej robią pieszą populacyą kozacką, narzekaliby na swój rząd, a ztąd wykrycie przed Moskwą. Trzeba tedy mieć miesięcznie jakąś posadę handlową lub gospodarską — ostatnia lepsza, bo przywiązana do miejsca — tu tańsza — bo z nią można połączyć pierwszą, tak posadziwszy się, będziemy mieli działanie na kozactwo i na Monaštor, a może i na Tatarów. Teraz Rawski musi na chwilę wrócić, to potrzebne dla uroku zyskanego u kozactwa, żeby go nie stracić, potem trzeba go zastąpić człowiekiem zdolniejszym, wyższym nawet w pojęciach, a jego albo odesłać nazad — albo zostawić na Niżu przy drugim, on się zda. Rawskiego doskonale mógłby zastąpić Baranowski, ale wątpię, by i ten miał zdolność wyższą. Jeśli Michał Budzyński nie stępiał — toby był człowiek jedyny. Zdaje mi się, że ekspens byłby mniej więcej taki:

Wynajęcie czyfliku rocznie od 3 do	4.000 fr.
Kupienie dwóch ogierów	2.000 „
„ 10 klaczy	5.000 „
Rozmaite rzeczy, konieczne potrzeby do domu	2.500 „
Utrzymanie 3 ludzi	3.000 „
Zasiew, robocizna, zbiór, dziesięcina	3.500 „
Ogółem . .	20.000 fr.

Do tego dodać podróż Jana z Rawskim, konieczne bakczysze przy kontrakcie — wyniesie 6.000 fr. zaprowadzenie. W żadne gospodarstwa się nie wdawać, tylko niby próba zaprowadzenia rasy koni. Może który Pan polski albo Anglik zechce się przyczynić do tego, zresztą przytem zakładzie będą Polacy, mogą być podciągnięci pod takie dobrodziejstwo jak i Czyflicy osadnicy. Mniemam, że przynajmniej w połowie można użyć na zakład Niżu pieniądze składane na Osadę — tam jest punkt konieczny, a z Lazarystów nie wiele się spodziewać możemy. Zapewne, że to jest nowy ekspens, ale to nie moja wina, przewidywałem złe, prosiłem o fundusze, bym mógł pojechać na Niż — byłbym uprzedził złe — teraz stało się — trzeba mu radzić, a ja nie widzę innego sposobu, tylko ten, który wskazuję. Uznaję go koniecznem, nieodbitem — tym tylko sposobem będziemy mieli Niż w ręku i działanie z Niżu — bez tego nie mamy klucza wprost do drzwi Polski. Tak długo nad tem się rozciągnąłem, bo chciałem wszystko wykazać i proszę o najprędszą rezolucyę. Jeśli odbiorę od

Hassan-beja wiadomość dobrą — natychmiast wyszlę na Niż. Możeby p. Włodz. Potocki albo jaki inny amator koni przyłożył się do zakładu, dostarczylibyśmy mu rączych biegunów i chartów.

26. grudnia 1843. [1])

Z Niżu nie mam żadnej odpowiedzi od Hassan-beja, gdyż i jego synowie, będący tu w Stambule, nie mają wiadomości od tego czasu — dziś posyłam do nich dowiedzieć się. Uważam za konieczny projekt, który przedstawiłem Ks. Panu i gdybym odebrał odpowiedź od Hassan-beja przed odpowiedzią X. Pana i przysłaniem funduszów, gotowem się zapożyczyć na wysłanie mego drogmana z Rawskim — dla wyszukiwania czyflika i dla ukazania się tam — sumiennie jestem przekonany, że tak zrobić powinien, a jeśli Ks. Pan nie chcesz przyjąć mojego projektu — nic jeszcze zrobionem nie będzie przed moim przyjazdem na Niż — gdyż ja sam mam zawrzeć umowę i urządzić rzecz — natenczas nie moja będzie wina z tej ogromnej straty dla sprawy. Możeby można zainteresować jakich amatorów końskiej rasy, naprzykład Francuzów lub Anglików. — X. (nieczyt.) lub X. d'Er(nieczyt.) lub innego, a wybrać na miejscu Polaka, któryby był i zdatny nam, i koniarz, ci panowie na tej spekulacyi amatorskiej i materyalnie by nie stracili. Mieliby ztąd i konie i charty, a ja miałbym dobry pozór siedzenia na Niżu trochę dłużej, żeby tam urządzić rzecz, jak się u leży — trzeba, żebym sam posiedział przynajmniej ze 3 miesiące. Na miejscu Rawskiego trzeba innego człowieka — przy swojem niepotrzebnem uprzedzeniu do zakonu Nekrasowców i do wszystkiego, co nosi na sobie cechę organizacyi zakonnej, (co jest jedynem dobrem), nie ma potrzebnego rozgarnienia i ruchawości, co na ten raz bardzo dobrze posłużyło, ale na przyszłość byłoby niekorzystnem do tego bardzo się przestraszył i zdemoralizował. Od 10 dni siedzi na Czyfliku, przysłał mi jedną część zdania sprawy — którą przyłączam — ciekawa do przeczytania, ale nie trzeba w niej szukać ani prawdy politycznej, ani ocenienia politycznego. Rawski jest wierny i poczciwy człowiek — przy drugim rozumniejszym wyśmienity, bo dobrze pije i dobrze śpiewa, a przytem choć krnąbrny, ale posłuszny — na Niżu się

---

[1]) Rp. 5486. Bibl. Czart. w Krakowie.

zda — jako podwładny — przedstawiam, że trzeba go tam na nowo zawieść i trzymać — chybaby demoralizacya do tego stopnia doszła, żeby koniecznie chciał wracać, w czem może się jakoś pomiarkuje. Spodziewają się tu Hassan-beja wkrótce — co byłoby bardzo pożądanem. Puławski, jak mówią poturczeniec znany pod imieniem Achmet-beja, którego zna generał Dembiński i p. Kuźmiński, który w r. 1828 był przy Hussen-Paszy, zarekomendowany przez poturczeńca Polaka Hidajet-beja, (zostającego na dziś w Mece, jak mówią, bardzo rozumnego człowieka), później odbywał podróż do Indiów z paszportem angielskim, był w Persyi — Kurdistanie, a nawet Gruzyi zna doskonale języki tych krajów i zwyczaje i wielkiej wziętości używał w Kurapapachów — przyszedł do mnie, oświadczając chęć służenia sprawie publicznej pod rozkazami X. Pana. Dał mi malutką notę, którą tu załączam. Używa on tu reputacyi uczciwego człowieka, od jego znajomych w Paryżu można się takoż dowiedziec. Ja mniemam, że oddając go pod dyrekcyę p. Le Noir, na co on przystanie, można zrobić bardzo użyteczną misyę — która zastąpi tę, którą przedsięwziął p. Wereszczyński. Jeśli wyspieszę, tobym jeszcze kuryerem zrobił małą relacyę, którą by X. Pan mógł pokazać lordowi Dudlej Stuart, jeśli nie to, przyszłą pocztą poszlę, a teraz dobrze przygotować się do tej rzeczy — i wywiedzieć się — Wereszczyński chciał go mieć z sobą, ale wówczas on był zajętym.

6. stycznia 1844, Carogród. [1])

J. O. M. Ks. W raporcie moim o całym biegu służby publicznej donoszę — tu to tylko umieszczam, co nie sądziłem być rzeczą potrzebną umieszczać w raporcie, iż wiem z dobrego źródła, bo od (nieczyt.), że sir Canning [2]) tak się przestrasza naszym stosunkiem z p. de Bou., iż temu ostatniemu po kilka razy powtarzał z wielkim naciskiem o niebezpieczeństwie, jakie ztąd wyniknąć może, tak się lęka, jak gdyby cesarz moskiewski mógł go porwać wprost z Stambułu na Sybir. Na P. de Boue., dotąd to szkodliwego wrażenia nie zrobiło, widuję się z nim bardzo rano bo sam chcę być ostrożniejszym jak on, by w nim coraz większe zaufanie wzbudzać. Wartoby zaradzić tej straszności p. Caning.

---

[1]) Rp. 5486. Bibl. Czart. w Krakowie.

[2]) Podsekretarz Stanu, od r. 1841 członek parlamentu angielsk.

Jeśli można, teraz zdarza się zręczność, jeśli jeszcze czas przez jadącego tu na sekretarza p. Wekerley — zarekomendować mnie temu panu i przez niego ostudzić trochę płochliwość p. Caning. zresztą to dobry i zacny człowiek — ale ten strach Moskwy a przytem nienawiść ku Moskwie odwracają go od konsekwentnego postępowania: żeby miał mniej strachu i mniej nienawiści — mógłby zrobić wiele dobrego, boby mógł się oświecić nie o jednej rzeczy i z zimną krwią niejedną by dokonał. Czyby p. Wekerley nie był dla nas tem, czem byśmy chcieli mieć p. Caning. na to zwracam uwagę X-cia Pana. — Pan Wielogłowski ciągle chory — przez dziesięć dni od ostatniej poczty, byliśmy w największej niespokojności — musieliśmy kilka razy na dzień i na noc przywoływać doktorów. Już dwudziesty pierwszy dzień, jak na łóżku nawet podnieść się nie może — ani podnieść go można — ale chwała Bogu od 4 dni gorączka i maligna ustały i mamy w Bogu nadzieję, że już nie będzie niebezpieczeństwa — ale według mniemania doktorów, wyzdrowienie trwać będzie długo, gdyż tak jest osłabiony, że ledwie parę słów przemówić może. Koszta tej choroby są bardzo znaczne, gdyż tu lekarz i apteka nadzwyczajnie się opłacają. Po ozdrowieniu nie wiem, czy klimat Stambułu będzie mu służył tu trzeba mieć wiele ruchu, dlatego sądzę, że trzeba zawczasu myśleć o jego destynacyi politycznej, szkoda, żeby po tylu poniesionych kosztach powracał do Paryża: daleko byłby użyteczniejszym w Jassach. Jassy, mające już niejaki polor towarzyski, nie tyleby mu smutnemi były, co Stambuł. U p. Vinklera znalazłby gościnność, choćby projekt o dyliżansach nie przyszedł do skutku. Utrzymując się tam swoim kosztem, mógłby wielkie usługi oddać sprawie, wiążąc tutejsze działanie z Galicyą, co mu snadnie przyjść może — to byłby wielki pospiech dla sprawy: gorliwość p. Wielogłowskiego znalazłaby obszerne pole do działania, a usposobienie jego i gusta więcejby pasowały z Jassami, jak z każdem innem miejscem na Wschodzie. Dotąd nie odebrał ani listów ani pieniędzy obiecanych z domu. Wszystko ekspensuje się z kasy publicznej, a doktorom i aptece dłużni jesteśmy. Zapowiedzianych pieniędzy przez PP. Moraw. i Budz. nie odebrałem, oczekuję je z przyszłym statkiem, jak nie przyjdą, to dalibóg nie wiem, co będę robił. P. Le Noirowi zmniejszać pensyi w żaden sposób nie można, bo by nie mógł się utrzymać, trzeba go jak najprędzej użyć, co się staram i nieomieszkam korzystać z najpierwszej okoliczności. Byłbym go bezzawodnie umieścił przy Kiamilu-Paszy, gdybym był miał na ten czas pieniądze, ale ich

nie miałem, a Kiamil na swój koszt brać nie chciał, brak funduszu rezerwowego czyni, że nie jedna najkorzystniejsza zręczność marnie się traci. Człowiek, co żyje z dziś na jutro, ma ręce związane. P. Le Noirowi ani odmawiać, ani zmniejszać pensyi, nie zdaje mi się być podobnem, z tego mógłby się narobić hałas, którýby był nader szkodliwy sprawie publicznej. Co do budżetu, piszę o tem wszystkiem w raporcie, wiem o tem i czuję doskonale, że ofiary X-cia Pana dla sprawy publicznej są wielkie i bezzawodnie robię, co umiem i co mogę, by oszczędzać grosz publiczny, dowodem tego, że odmawiam sobie wszelkich a wszelkich przyjemności a nawet odzienia — ale co niepodobna to niepodobna, może pomyślność naszych stosunków zależy od tego, abym nie miał miny nędzarza lub żebraka — dlatego muszę stać porządnie i nie mogę się włóczyć po gangułach[1]) — muszę dawać bakczysze, bo tu bez tego ani kroku zrobić nie można. Turcy od Europejczyków oświaty nie przyjęli, ale Europejczycy od Turka doskonale przyjęli zwyczaj bakczyszów. Na Nowy rok odpędzić się nie można było odwiedzających sług i służków pos. Fr. i od innych potrzebnych ludzi, a każdemu trzeba było dać. Co do siebie wszystko zniosę, a co do potrzeb sprawy, na to upraszam jak najgoręcej, gdyż inaczej ucierpiałaby na tem polityka X-cia Pana, a toby był cios dla Polski, a dla mnie ogromna boleść. Piszemy a piszemy do Tebsir, a dotąd ani odpowiedzi wyraźnej, ani żadnego zgłoszenia się od konsula Abaad[1]) doprosić się nie możemy. LL... są niepoczciwi, bardzo grzecznie dali mi poznać, że p. Bose płaci p. Bounalt za utrzymanie swoich koni i że zatem i ja muszę płacić za mojego jednego, gdyż drugiego trzymam — będę musiał wziąć tego, ha, bo by zmarł z głodu, a o taką bagatelną rzecz nie warto było spór wszczynać; udałem, że nie poznaję do czego była mowa i tego w raporcie nie umieszczałem, ani też o tem LL wspomnę, piszę to tylko dla wiadomości prywatnej X-cia Pana, trzeba koniecznie rzecz schronieniem poprawić, bo inaczej będzie on dla sprawy bez użytku, to można zrobić w Paryżu, tu tego zrobić nie można.

Pełen wysokiego uszanowania i uwielbienia dla Obojga Księstwa Państwa i Ich świetnego Rodu — polecam siebie i rodzinę moją opiece X-stwa Państwa i zostaję zawsze i wszędzie gotów na rozkazy X-cia Pana prawdziwy i nieodmienny sługa

Michał Czaykowski.

---

[1]) Nie ręczę za dobre odczytanie.

17. stycznia 1844. [1])

P. Rawski obawia się powracać na Niż — ta obawa robi go niesposobnym do służby, bo mimo najlepszych chęci, mając przed oczyma niebezpieczeństwo, stracił wiarę i wszystko. by mu dobrze szło. Zastąpię go dostatecznie p. Puławskim. o którym już poprzednio pisałem. jak tylko będzie możność wysłania do Warny. zaraz go wyszlę — pierwszym statkiem chcę sam pojechać — wyszlę go z moim drogmanem — zabawiwszy tam jakiś czas, dopiero zgłoszę się o innego Polaka — tylko naprzód upraszam o dobry wybór, żeby słuchał i był poczciwy człowiek a dobry Polak. zakład gospodarstwa choćby najmniejszy. koniecznie jest potrzebnym do pokrycia przed Turkami pobytu swego na Niżu. Co do Rawskiego trzeba, żeby wracał do Francyi. tu dla niego jak nie na Niżu, niemasz żadnej posady — może potrafię go wyprawić z 3-miesięcznym żołdem i dodatkiem 100 lub 150 franków — tak tedy kasa publiczna nad budżet wyda 150 frank. w p. Puławskim policzy się podróż bez żołdu i dopiero od drugiego kwartału postanowi się mu żołd. Jeszcze o pieniężnym stosunku z nim szczegółowo nie mówiłem, ale pewny jestem. że kosztować będzie albo tylko tyle. albo mniej, co Rawski. Jego jako Tatara i Muzułmanina obrócę do działania na Tatarów — sam posiedzę na Niżu i wszystkie stosunki. zawiązane przez Rawskiego, zostaną z natury rzeczy w mojej ręce, a ten Polak w przyjeździe zostawszy ze mną przez kilka czasów. wprawi się do służby, to się później wyjaśni. a teraz przedewszystkiem trzeba wrócić na Niż — osadowić się — zrobiłem i tu krok tyczący się Niżu, jak to okaże się w paragrafie następ. Z Rawskim po odjeździe statku natychmiast skończę i doniosę przyszłą pocztą. Takie śniegi tu opadły, że ani podobieństwo Bałkany przejechać, a okręta nie chodzą teraz na Czarne morze.

17. marca 1844.

Posyłam instrukcye. dane pp. Rawskiemu i Puławskiemu oraz przepisanie, jak mają z początku postępować, z pierwszym statkiem mam nadzieję wyjadą. Jeśli choć w czwartej części wypełnią

[1]) Rp. 5487. Bibl. Czart. w Krakowie.

dane sobie instrukcye, co jest rzeczą możebną, to będzie wielką korzyścią dla sprawy i poniesiony ekspens na utrzymanie p. Puławskiego sowicie się nagrodzi.

Notatka dla jadącego na Ruś.

Jadący na Ruś może mieć na uwadze, że najlepszemi okolicznościami do poznania mieszkańców, ich ducha i zawiązania z nimi stosunków są — kontrakty, wybory, jarmarki, karnawały — każde z tych zbiorów ma swoją właściwą cechę. Kontrakty przez samą naturę interesów pieniężnych, jakie się tam odbywają, ma się rozumieć, że w tem zebraniu można zastać najwięcej ludzi poważnych, majętnych, nie bardzo pochopnych do słuchania o naszej rzeczy, jak tylko to wskazuje bliskość i nieodzowność powstania, ale idee monarchiczne, idee porządku więcej znajdą przystępu do nich, jak do innych i jeśli między takimi można znaleźć człowieka, któryby chciał z nami się związać, na takiego można rachować. Jest też między kontraktowymi więcej takich, co roztrwonili majątki, ostatkami gonią, ci są rodzimi spiskowi, chwycą się rzeczy z pospiechem i mogą być bardzo użyteczni. Nareszcie spekulanci różnego rodzaju, między tymi można znaleźć ludzi zdatnych i ofiarujących pewną gwarancyę. Kontrakty odbywają się w Kijowie w styczniu, a w Dubnie takoż raz na rok — ale nie pamiętam czasu.

Wybory oprócz zdrowej części, która w każdem zebraniu być musi i do której zawsze i wszędzie jednym językiem się trafia, są tam ludzie próżni, ubiegający się za urzędami. Krzykacze decydujący o wyborach, ci ostatni są najwyśmienitsi do rozniesienia rzeczy, którą trzeba roznieść — gotowi do każdego działania, prowadzącego do czynu, w czynie samym rzadko kiedy staną. Działając na pierwszych próżność, można osiągnąć niejeden pożyteczny skutek. Wybory odbywają się w każdej gubernii w innym czasie.

Jarmarki, tam się zbiera więcej obywateli hulających jak kupujących i przedających. Tam można widzieć całą młodzież hulaszczą i ztamtąd można mieć niejeden materyał zdolny do sprawy, przy koniku i kieliszku najprędzej uczucia polskie, uczucie wojenne się obudzi, znajomości tam porobione zaprowadzą na polowania zbiorowe, gdzie najlepiej patryotyczne rzeczy układać. Ka-

żdy myśliwy — każdy jarmarkowiec jest rodzinny powstaniec. Oni największej popularności używają między ludem prostym, między klasą oficyalistów a nawet i żydzi najwięcej się boją i więcej zrobią dla nich, jak dla innych. Od wszystkich złych narowów dobrem patryotycznem słowem najwięcej ich odwrócić, ale nie trzeba się zrażać ich rubasznością i hulaszczyzną, nie nudzić ich nudnemi rozprawami politycznej dogmatyki, gadać im o tradycyach historycznych, o sławie polskiej — rzeczy poetyczne — a można ich zaprowadzić, gdzie się zechce i z między nich można wyrobić najtęższych i najbieglejszych konspiratorów. Jarmarki najsławniejsze są w Berdyczowie, w Bałcie, w Chwastowie, w Felsztynie, w Tulczynie, w Małorossyi, w Romnach, w Lebedzianach itd., o tych łatwo się wywiedzieć między emigrantami i o czasie, w którym się odbywają karnawały, tam między modnemi papinecikami są zuchy krasno(nieczyt.) — i z jednych i z drugich można mieć dobre materyały. Czasem nawet coś celniejszego się napotka, ale nie tyle warci, co jarmarkowicze i myśliwi. Na tych zebraniach jest czas i właściwe okoliczności do pogadanek, najwięcej działać można na kobiety i przez kobiety na modnych mężczyzn. Te zebrania powinny być uważane za ważne, dlatego samego, że tam tylko można zdybywać większą liczbę kobiet zgromadzonych, jak gdzie indziej.

Karnawałowe zabawy odbywały się i zapewne odbywać się muszą w Kijowie, w Żytomierzu, Murowanej Machnówce, Winnicy, Kamieńcu, Krzemieńcu, Odessie itd. Jeszcze jest dobra chwila, być latem w Odessie, wszyscy urzędnicy moskiewscy odsyłają swoje rodziny na wieś a Polacy wyjeżdżają do miasta na kąpiele morskie i wtenczas Odessa, jakby czysto polskie miasto. Także są pewne miejsca, gdzie są wody mineralne, gdzie się zbiera szlachta miejscowa, jak na Ukrainie w Lisiańce i w innych miejscach; tam można spotykać dobrych Polaków. Ważną jest rzeczą zawiązanie związku z nauczycielami Uniwersytetu St. Włodzim. w Kijowie, tam oprócz Polaków jest mnóstwo uczniów z Ukrainy Zadnieprskiej i z kraju kozaków dońskich. Na Ukrainie zadnieprzańskiej i w ziemiach dawnych województw kijowskiego i bracławskiego trzeba żywić, krzepić i rozbudzać tradycyę kozaczą przywiązaną ścisłym węzłem do Polski z godłem króla polskiego. O ile można robić widomem rodzinę, do której korona polska przywiązana — to tylko jedyny sposób — związania ścisłego chłopstwa ze szlachtą — pociągnięcia do sprawy polskiej zadnieprzan. Ukrainy — ujęcia stanu duchownego szyzmatyckiego —

wciągnięcia do Polski kozaków czarnomorskich. nawet zyskania udziału w wspólnej sprawie Dońskich kozaków, — to tylko jedno, co zabezpieczy ludowi Rossyi swobodę, a ochroni kraj od swawoli hajdamackiej., Szlachtę trzeba o tem przekonać, a z ludem pójdzie łatwo. Taką propagandę najlepiej rzucić od Połtawy i nad granice Dońskiego kraju. co najłatwiej zrobić przez Kijów. W gubernii wołyńskiej najważniejszymi są powiaty żytomirski-owrucki, część zwiahelskiego. Cała ta część kraju, co składała niegdyś województwo kijowskie — tam najwięcej dobrej i dziarskiej szlachty i lud tęgiego ducha — po tej części co do wartości idzie Polesie, Wołyń, a w końcu Wołyń od galicyjskiej granicy. W gub. podolskiej cała część, składająca dawne województwo bracławskie, była daleko dzielniejsza od drugiej połowy w tej gubernii. Trzeba wielką wartość przywiązywać do dóbr X. Czartoryskich, tam przywiązanie chłopów do księcia Adama może być iskrą rozpalającą duch w całym ludzie Rusi. W gubernii kijowskiej prawie wszystko było dzielone, tam wielkiej uwagi warte dobra pp. Branickich i Potockich, niedzielone na cząstki drobne, zachowały więcej jednorodności — tam żyje najgorzej tradycya dawna, nowe pokolenia są także elementem, który należy wyeliminować a na stan należy silnie działać. Besarabia kraj nowy, miał jednak wiele elementu polskiego w szlachcie tam się osiedlającej. tam trzeba wyexaminować kozaków naddunajskich, między którymi jest wielu ze szlachty czynszowej naszej. W małoruskich guberniach, w Połtawie i Czernichowie. zachowało się najwięcej tradycyi i między szlachtą i między ludem. Jak utrzymują. ta szlachta mimo że daje mnóstwo urzędników wojskowych i cywilnych Moskwie. niema ku Moskwie żadnej sympatyi. Wierzę, że Grabowski (Michał), Hołowiński i H. Rzewuski dali się ułudzić slawizmowi moskiewskiemu, to rzecz pokwapna i loiczna, ale myślę, że ten slawizm moskiewski możemy zwalczyć, a zwalczyć slawizmem polskim. Fakta, które można wskazać jadącemu, najlepiej mu do tego posłużą i nie wątpię, by 2 pierwszych nie miały zwrócić na dobrą drogę. na drogę Polski, gdyż powszechnie o nich mówią, że są dobrzy i poczciwi ludzie prywatnie. Co do trzeciego. chociaż zdolny człowiek i katolik Ortodoxa używał nie bardzo zalecającej się reputacyi. tak jak i cała jego rodzina, pochodząca od senatora Adama Rzewuskiego z Pohrebyszcz.

Grabowski, Hołowiński, Rzewuski nie są ludźmi powstania, wszyscy trzej są właściwie do rozkrzewiania idei patryotycznych i wkorzeniania myśli porządku. Piewszy wypełniał ten obowiązek

bardzo święcie... z nim stosunek jest arcywielkiej wartości. Stosunek z Kraszewskim, szwagrem Woronicza, jest także nader ważnym. Dziś znani literaci na Rusi są — Groza w Kijowskiem. wydawca Rusałki — Mich. Jezierski z Ukrainy. syn Prezesa. był w naszem powstaniu, ale zdrowie nie pozwoliło mu znosić trudu wojennego, jednak ma wiele patryotyzmu. Kotoni, syn architekta. Kijów, bardzo narodowy. Szymon Konopacki w Żytomierskiem musi już być niemłody, znany człowiek, dobry Polak. Konstanty Piotrowski poeta, niemłody, schorzały, Polak dobry, ma liczną rodzinę w Żytomierskiem, ich wzięcie może się przydać, byli wszyscy różnemi czasy za granicą, dwóch było w powstaniu i w wojsku. moi dobrzy znajomi — Pągowski w Owruckiem poeta-powstaniec, dzielny Polak, ma stosunki familijne między drobniejszą owrucką szlachtą. Jan Stępkowski w Zasławskiem, wnuk regimentarza. brat Józefa St., który był w gwardyi strzel. kon. i Ignacego, który był marszałkiem tego powiatu, ten ostatni majętny i dobry Polak. Są zapewne i inni literaci, których nie znam. Z literatami trzeba się zapoznać. bo oni działają na opinię kraju. Trzeba się starać pozbierać wiadomości o ludziach. należałoby zwracać uwagę na tych panów: Grocholski. dawny guber. podol.. o którym bardzo wiele można się dowiedzieć od Zaszczyńskiego i innych Polaków. Kozłowski, generał moskiew. w gub. kij. w pow. taraszczańskim czy lipowickim. we wsi Zaszkowie, o którego zdolnościach i patryotyzmie tyle mówił nieboszczyk Krasicki. Neczaj, były marszałek czerkaski, który chciał mieć udział w powstaniu, nie należy zapominać o mężu pani Mężyńskiej, Danielu Mężyńskim, o którym są już pewne wiadomości z naszego pułku w kraju. Koło Lubaru Adam i Jozafat Domaradzcy, doskonali i Polacy i żołnierze byli, jeden porucznikiem a drugi podp. Antoni Trypolski w Żytomier. we wsi Tiutiunnikach, podp. znany Polak. Aleks. Opolski majętny, zdolny i dobry podoficer. Antoni Szaszkiewicz w Żytomirskiem na pograniczu Podola. dzielny choć trochę szaławiła, można go używać — musi być popularny.

Z innych powstań i wojska są: Petrykowski Ed. w Krzemieniec., Rościszewski Adolf w Zasławsk., Lipkowski Henryk na Podolu, Lipkowski Leon tamże, wieś mi się zdaje Urucze. (Nowo) siółka za Bohem (?). Zbyszewscy Nepomucyn. Kar. w (niecz.) w Taraszczańskim. Podhorski Anastazy w Skwirskiem, Zbrożkowie na Podolu. Z tymi można mówić. Są jeszcze rodziny, które powinny być dobre, przynajmniej warto o nich się wywiedzieć. Na Podolu:

Dorożyńscy w Lityńskiem, Trzeciacy tamże, synowie Mich. Trzeciaka, Jaroszyńscy, Sobańscy na Wołyniu, Prószyńscy w Kowieńskiem, Głęboccy w Żytom., Zielenieccy, Rapsztyńscy w Owruckiem, Zaleńscy w Kijow. Rościszewscy pod samym Kijowem, Grudziński Kaz. koło Smiely. brat oficera naszego pułku. Turkuł, Zalescy. Świdersey, Madejski, Tarnowiecki. Wiadomość o ludziach powinna być najważniejszą dla chcącego zawiązywać stosunki. Na Donie trzeba mieć na uwadze rodziny Greków, Jłowajski, Ptalof, syn hetmana, ma być bardzo przychylny Polakom — dobrze przyjmował mieszkających zesłańców. Na Czarnomorzu samego hetmana Zawadowskiego, którego znają Sobańscy Izydor i Aleks. Trzeba nie zaniedbywać mieszcz. Kijów. Z hetm. kozaków naddunajskich Wasilewskim; ma być nie bardzo chętny Moskwie. Jeśliby jadący z Besarabii chciał mnie co dać wiedzieć, może przysłać list do Administr. Stat. austryac. pod adr. M. Raclicheri Thomas albo docteur de quarantaine M. Barbier i we środku list adresowany: Il Siqnor Vizencio Rava — niech będzie pisany cyframi pod godłem Chrzanowskiego (?), a jeśliby chciał się widzieć albo posłać kogo, to niech szuka wioski Kawgadżyja, o godzinę drogi od Babadach koło Sławy — tam niech pyta o Panajoła Snilukdży a u niego o Sydora Sydorowicza. Na Donie blisko Taranrogu we wsi Wodotaje mieszka por. Martinow z gwardyi Dońców, ma połowę tej wsi — żonaty, ma syna — ma być wielkim przyjacielem Polaków i Polski.

Fr. Rawita-Gawroński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fryderyka Chopina
pierwsze lata w Paryżu.
(1831—1838).

STUDYUM BIOGRAFICZNE.

(Ciąg dalszy).

Ale pomiędzy muzykami, mieszkającymi w Paryżu, nie brakło i Polaków, nawet takich, którzy tu cieszyli się pewnym rozgłosem. Najsławniejszym z nich, wymienianym między lepszymi pianistami, a wcale modnym i wziętym, jako płodny i wszechstronny kompozytor, był Albert Sowiński, od lat już zamieszkały nad Sekwaną. Chopin oczywiście nieomieszkał poznać się z nim (wszak przed laty nawet wymienili parę listów w sprawie pieśni polskich i słowiańskich), ale nie bardzo był zadowolony z tej znajomości, albowiem była to znajomość z dużą dozą poufałości ze strony Sowińskiego, która go nudziła chwilami. Przedewszystkiem nie traktował go na seryo, jako kompozytora, a jako pianistę uważał za wcale nie nadzwyczajnego. „Ani się umywał“ do nieboszczyka Aleksandra Rembielińskiego! Jako człowiek był może poczciwy, ale mało interesujący. „Głowa nie tęga, — czytamy o nim w liście do Wojciechowskiego — ale figura dobra i serce“.

A że bardzo polubił Chopina, więc przychodził do niego często, za często. Fryderyka nudziły, a czasem irytowały te bezceremonialne wizyty, bo nie zawsze był usposobiony do przelewania z pustego w próżne, czemu się równały jego rozmowy z Sowińskim, z którym nie wiele miał sobie do powiedzenia, a cóż dopiero do słuchania tuzinkowej muzyki, lub rutynicznych improwizacyi od siedmiu boleści! Oto, jak raz w liście do Wojciechowskiego opisał jedną z takich przedpołudniowych wizyt Sowińskiego: „Do Ciebie pisząc, nie cierpię, kiedy mi się dzwonek ruszy i właśnie jakieś coś z wąsikami, duże, wyrosłe, tęgie, siądzie do fortepianu i samo nie wie, co improwizuje. Wali, tłucze bez sensu, rzuca się, przekłada ręce, z pięć minut na jednym klawiszu gruchocze ogromnym paluchem, który gdzieś tam na Ukrainie do batoga i do leje był przyzwyczajony. Masz portret Sowińskiego, który innego merytu nie ma, jak dobrą figurę i dobre serce. Jeżelim mógł kiedyś sobie szarlatanizm albo głupstwo w sztuce wystawić, to nigdy tak doskonale, jak teraz często muszę słuchać, chodząc po pokoju i umywając się tymczasem. Uszy mi się czerwienią, wypchnąłbym za drzwi, a muszę menażować, nawet być czułym wzajemnie. Nie masz wyobrażenia o czemś podobnem, ale ponieważ oni go tu (oni, co się nie znają tylko na krawacie) za coś mają, więc trzeba to znosić. A czem mi najwięcej krwi napsuje, to zbiorem swoich karczemnych, bez sensu, najgorzej harmonizowanych, bez najmniejszej znajomości prozodyi układanych śpiewek z zakończeniami kontredansowemi, które on zbiorem polskich pieśni nazywa. Wiesz, ile chciałem czuć i po części doszedłem do czucia naszej narodowej muzyki, zatem miarkuj, jak mi przyjemnie, kiedy on czasem to tu, to tam złapie coś mojego, czego piękność często na akompaniamencie zależy, i z karczemnym, szenkatarynkowsko-gainguetowsko-parafialnym gustem zagra: a nic nie można powiedzieć, bo więcej nad to, co złapał, nie pojmie...“

Inny zupełnie, bo na rzetelnej serdeczności i przyjaźni jeszcze z warszawskich czasów oparty, był stosunek Chopina z Orłowskim, zdolnym skrzypkiem i kompozytorem, a niebawem szefem orkiestry teatralnej w Rouen. Gdyby nie Orłowski, możeby Chopin istotnie został w Paryżu tylko *en passant*, bo przecie jechał do Londynu. Ale Orłowskiemu miał do zawdzięczenia, jego namowom, że na razie zdecydował się zostać nad Sekwaną. Orłowski, który w Paryżu bawił już rok przeszło, zaraz po swym przyjeździe tutaj, gdy się rozejrzał i zoryentował w paryskiej

atmosferze muzykalnej, pisał do swych rodziców, by skłaniali Chopina, ażeby koniecznie przyjechał do Paryża. „Radźcie mu — są słowa jego listu — by jak najprędzej przyjeżdżał do Paryża, zrobi furorę. Gdyż ani Herz, ani Kalkbrenner, ani Pixis, ani Liszt, nie mogą mu dorównać: słyszałem wszystkich: żaden nie jest jedną częścią Chopina". Samo się przez się rozumie, że tak dobry kompozytor i znawca, jak Orłowski, wypowiadając tak entuzyastyczne zdanie o Chopinie, nie miał na myśli przewagi jego techniki nad techniką wspomnianych pianistów, lecz jedynie dziwną oryginalność gry Chopina, i niewymowny urok, jaki wywierała na słuchaczach. Przekonany o tem, Orłowski, od chwili, gdy Chopin stanął na paryskim bruku, zachęcał go do pozostania tutaj, przepowiadając mu najpiękniejszą przyszłość. [1])

Trzecim ziomkiem Chopina, z którym bardzo się zaprzyjaźnił w Paryżu, był Ludwik Norblin, syn „naszego polskiego Norblina", malarza, pierwszy wiolonczelista w orkiestrze wielkiej opery paryskiej, a bardzo piękna i artystyczna dusza w każdym calu. Z Chopinem mieli to wspólnego, że pomimo swych francuskich nazwisk byli gorącymi Polakami, których nic tak nie drażniło, jak kiedy ich ktoś przez niewiadomość, a tylko sądząc z nazwiska i nienajgorszej znajomości języka francuskiego, wziął za Francuzów. Obaj byli bardzo drażliwi na tym punkcie. [2])

Zawiązawszy stosunki z paryskim światem muzycznym, wśród którego w bardzo krótkim czasie, bo jeszcze przed upływem roku 1831, zdobył sobie „znaczne imię", [3]) starał się Chopin być dobrze i z koryfeuszami paryskiej krytyki muzycznej, a przedewszystkiem z Fétisem, który wśród nich zajmował pierwsze miejsce. Wprawdzie Chopin w duszy zaliczał go do tej samej kategoryi,

---

[1]) Al. Poliński: O Fryd. Chopinie feljetony w Kurjerze Warsz. z r. 1899 (w pięćdziesiątą rocznicę śmierci Chopina).

[2]) Między papierami Chopina znalazła się także kartka Norblina z d. 9. września 1832 r., po polsku pisana, a brzmiąca jak następuje: „Kochany Rodaku Chopin. Ta tu panna Segny z Lionu przyjechała, jeszcze nikogo tu nie słyszała i mnie jest rekomendowana. Nieboga! Zagraj jej mazurka, albo co będziesz chciał, a usłużysz tego, któren Cię pozdrawia

rodak i przyjaciel

Norblin".

[3]) W liście z 12. grudnia 1831 pisze Chopin do Wojciechowskiego: „Pomimo wszystkiego, trzeba ci wiedzieć, że już tu mam między artystami znaczne imię".

co Reicha i Cherubiniego, mianowicie do „zasuszonych pupek“, ale mu tego naturalnie nie dał do poznania, lecz sobie odrazu umiał zyskać jego względy. Bardzo zabawnie scharakteryzował go w liście do Wojciechowskiego, bezpośrednio po ustępie o zasuszonych pupkach: „Fétis znowu, którego znam i od którego można istotnie wiele się dowiedzieć, mieszka za miastem i tylko na lekcyach w Paryżu bywa: bo inaczej dawno siedziałby u św. Pelagii za długi, których ma więcej, niż mu jego *Revue musicale* przynosi. Trzeba wiedzieć, że prawo pozwala dłużników aresztować *à domicile:* dlatego Fétis w Paryżu w swojem *domicile* nie siedzi, tylko tam, gdzie prawo dosięgnąć nie może“.

Między niewieloma listami polecającemi, z któremi przyjechał do Paryża, miał Chopin, jak sam pisze, „kilka od edytorów z Wiednia“. Łatwo się domyśleć, że były to przedewszystkiem listy do wydawców paryskich, na których czele wtedy stał właściciel największego składu nut, oraz wydawca konkurującej z pismem Fétisa *Gazette musicale,* Maurice Schlesinger. Kiedy się jest kompozytorem, a ma się pełną tekę gotowych kompozycyi, to o wydawcę dba się prawie więcej, niż o muzyków i recenzentów. Będąc w tem położeniu właśnie, a pragnąc gorąco, żeby przywiezione manuskrypty jak najprędzej mogły być wydane i... zapłacone, Chopin nie zwłóczył z wizytą u Schlesingera, a że był dobrze przyjęty, że stosunki, jakie nawiązał z tym potentatem na rynku muzycznym, ułożyły się jak najlepiej, ba, zamieniły się w rzeczywistą przyjaźń, która leżała zarówno w interesie Chopina, jak Schlesingera, o tem świadczył chociażby ten fakt, że Schlesinger odrazu stał się głównym wydawcą kompozycyi Chopina, mającym pierwszeństwo przed innymi. Chopin bardzo sobie cenił ten stosunek. W składzie nut Schlesingera, jak niegdyś u Brzeziny, przeglądał i przegrywał nowości muzyczne, a na zebraniach tygodniowych, urządzanych przez państwa Schlesinger, na których bywał prawie cały świat artystyczno-literacki paryski, należał do stałych gości, słusznie uważany przez wszystkich, jako jedna z najświetniejszych ozdób tego muzykalnego „Salonu“. W swoich arcydowcipnych sprawozdaniach muzycznych z Paryża nazywa Heine Maur. Schlesingera „poskromicielem muzyków“, *Musikantenbeherrscher.* Bądź co bądź, była to osobistość, z którą musieli się liczyć wszyscy muzycy, nie wyłączając Chopina. Będąc muzykiem, komponując lub koncertując, a mieszkając w Paryżu, wypadało się zdecydować: czy być dobrze ze Schlesingerem, a tem samem mieć zapewnioną przychylność recenzentów z *Gazette mu-*

sicale, słowem być oddanym firmie M. Schlesinger, należeć do schlesingerowskiej koteryi, a tem samem być źle z Escudierem, wydawcą *La France musicale,* i być z góry przygotowanym na szykany w tem konkurencyjnem piśmie muzycznem; albo być dobrze z Escudierem, a tem samem mieć zapewnioną przychylność recenzentów z *La France musicale,* czyli należeć do innej koteryi, a tem samem być źle ze Schlesingerem, co za sobą pociągało w nieuniknionem następstwie, że się będzie miało przeciwko sobie *Gazette musicale.* Taką była sytuacya. Chopin od pierwszej chwili stanął pod sztandarem Schlesingera, co zresztą było roztropnem z jego strony, bo koterya schlesingerowska, do której należeli Liszt, Berlioz, Hiller, Osborne i w. i., była silniejsza.

Podobne stosunki panowały i w sferze fabrykantów fortepianów. I tu były dwie wielkie koterye, Pleyela i Erarda, z tą różnicą jednak, że tutaj konkurencya ujawniała się w mniej jaskrawy sposób. Jako zaprzyjaźniony z Kalkbrennerem, który był cichym wspólnikiem fabryki Pleyela, Chopin od samego początku związał się z tą firmą, pozostając jej wiernym do końca. Nie przeszkadzało to, że był w przyjaznych stosunkach i z domem Erarda, który znów zaakaparował dla siebie Liszta. Jak Chopin stale grał na fortepianach Pleyela, tak Liszt zawsze używał instrumentów Erarda. Z głównym właścicielem firmy Pleyel, Kamilem Pleyelem, który był nietylko fabrykantem fortepianów, ale i wcale niepoślednim kompozytorem (jak przystało na syna Ignacego Pleyela), zaprzyjaźnił się Chopin, jak mało z kim drugim. To też u państwa Pleyelów, również urzadzających świetne wieczory muzykalne, Chopin rychło stał się ulubieńcem pani domu. Choć, gdzie on nie był ulubieńcem?!...

II.

Królem fortepianu, niepodzielnie panującym w dziedzinie tego instrumentu, był w roku 1831 Fryderyk Kalkbrenner, uważany za „następcę Clementiego“, nazywany także „Delillem fortepianu“. O grze jego, niesłychanie świetnej i efektownej, pełnej elegancyi, wyrażali się znawcy, jako o „najczystszej cyceroniańskiej łacinie na fortepianie“. Cokolwiekbądź, jedno nie ulegało wątpliwości, że Kalkbrenner podówczas był najsławniejszym ze wszystkich fortepianistów świata, bez współzawodnika. Jako kom-

pozytor, również zajmował pierwszorzędne stanowisko. Jedyny zarzut, jaki mu czyniono, był ten chyba, że pisał za wiele. W każdym razie miał wielką łatwość komponowania, a niektóre z jego kompozycyi, n. p. koncert fortepianowy, jeszcze dziś dadzą się słuchać. Była to muzyka w starym stylu, ale w tych czasach prawie nie znano innej muzyki.

Jako do takiego, uzbrojony w rekomendacye Paëra, udał się Chopin, wkrótce po swem zainstalowaniu się na Boulevard Poissonière, z wizytą do Kalkbrennera, ażeby mu się przedstawić. O tej swojej wizycie u sławnego pianisty, który go przyjął bardzo uprzejmie, tak pisał Chopin w jednym ze swych listów do Wojciechowskiego: „Po zaprezentowaniu, Kalkbrenner prosił mię, żeby mu coś zagrać. Rad nie rad, przystałem: a wiedząc, jak Herz gra, zdjąwszy pychę z serca, siadłem do fortepianu. Zagrałem mój Koncert E-moll, nad którym unoszono się w stolicy bawarskiej. Zadziwił się Kalkbrenner i natychmiast zadał mi pytanie, czy nie jestem uczniem Fidda? Mówił dalej, że mam styl Cramera, a uderzenie Fidda. Ucieszyło mię to w duszy, a jeszcze bardziej, gdy usiadłszy do fortepianu Kalkbrenner, chcąc się przedemną wysadzić, omylił się i musiał zaprzestać grania. Ale też trzeba było słyszeć, jak zrobił repryzę: nic podobnie pięknego!" Wogóle gra Kalkbrennera niesłychanie podobała się Chopinowi. Według jego najgłębszego przekonania, żaden z pianistów, których teraz poznał w Paryżu, nie wyłączając tyle sławionego Herza, nie dorastał do kolan temu prawdziwemu mistrzowi gry fortepianowej. „Wszystko to są zera przeciwko Kalkbrennerowi, — pisał w tymże liście do Wojciechowskiego. — Przyznam Ci się, że gram tak, jak Herz, lecz chciałbym tak grać, jak Kalkbrenner. Jeżeli Paganini jest perfekcya, to Kalkbrenner stoi z nim na równi, ale oczywiście w innym zupełnie rodzaju. Trudno ci opisać jego *calme*, jego dotknięcie czarujące, równość niesłychaną i to mistrzowstwo malujące się w każdej jego nucie, jest to olbrzym, depczący wszystkich pianistów, a tem samem i mnie. Cóż się dziwić?" Swoją drogą „olbrzym", na ogół dość nieprzystępny i nie skłonny do poufalenia się z byle kim, dla Chopina od pierwszego dnia okazał się wyjątkowo łaskawym i uprzejmym, tak dalece nawet, że nie tylko sobie postąpił z wprost uprzedzającą grzecznością wobec niego, ale mu odrazu dał dowody przychylności, która szybko zasypała przepaść między wszechświatowej sławy „królem fortepianu" a młodym nieznanym cudzoziemcem. Ale taki to już jest wpływ geniuszu: nawet takiego „olbrzyma",

jak Kalkbrennera, podbił sobie odrazu. Po tej pierwszej wizycie, Kalkbrenner zaraz rewizytował Chopina, i odtąd widywali się codzień. Poprostu przylgnęli do siebie. Dom Kalkbrennera, pysznie urządzony, z wspaniałą galeryą obrazów, stanął otworem dla Chopina: i sam „olbrzym", i jego żona, i córki, wszyscy dlań byli z niesłychaną serdecznością. Zapraszano go na obiady *tout à fait en famille*, a żeby mu się nie wydawało, że bywa za często, sam Kalkbrenner, taki dumny i nie skory do poufalenia się z innymi artystami, co parę dni przychodził do niego, nie zrażając się ani czwartem piętrem, ani niepokaźnością jego kawalerskiej stancyjki. Przyjaciele Chopina, którym opowiadał o tej swojej zażyłości z wielkim Kalkbrennerem, nie mogli wyjść z podziwienia, podejrzewali, że to nie może być szczere ze strony Kalkbrennera itp. Tymczasem Chopin, nie podzielając ich zdania, codzień widywał się z wielkim fortepianistą, muzykowali razem, aż wreszcie Chopin zwierzył mu się któregoś dnia, że całkiem na seryo myśli o karyerze pianisty, że jako taki przedewszystkiem pragnie występować, a dopiero następnie, już zdobywszy sobie renomę, jako pianista, a tem samem zdobywszy sobie niezależność, poświęcić się kompozycyi, nie tylko na sam fortepian, ale i w zakresie operowym. Co go skłaniało do powzięcia takiej decyzyi, o tem w podobny sposób mniej więcej, jak to pewno uzasadniał Kalkbrennerowi, pisał w liście do Elsnera. Oto jego argumentacya: „Roku 1830, lubom widział, ile mi nie dostaje i jak mi daleko, gdybym chciał się za którymkolwiek Pańskim wzorem pokusić, śmiałem jednakże sobie pomyśleć: zbliżę się choć trochę do niego i jeżeli nie Łokietek, może jaki Laskonogi wyjdzie z mojej mózgownicy. Ale dziś, widząc tego rodzaju wielkie nadzieje zniweczone, przymuszony jestem myśleć o torowaniu sobie drogi w świecie, jako p i a n i s t a, odkładając tylko na niejakiś czas w y ż s z e w i d o k i a r t y s t y c z n e, jakie mi Pan słusznie w liście swoim przedstawiasz. Aby być k o m p o z y t o r e m w i e l k i m, trzeba ogromnego doświadczenia, które, jak mię Pan uczyłeś, nabywa się nie tylko słyszeniem obcych, ale więcej jeszcze słyszeniem prac własnych. Kilkunastu zdatnej młodzieży, uczniów Konserwatoryum Paryskiego, z założonemi rękami czekają wystawienia oper, symfonii, kantat swoich, które tylko Cherubini i Lessueur na papierze widzieli (nie mówię ja tu o małych teatrzykach, do których także trudno się dochrapać, a dochrapawszy się n. p. jak Tomasz[1]) na Leopold-

[1]) Nidecki.

stadt, mimo czasem wielkich zalet, żadnego znaczenia artystycznego się nie nabywa). Meyerbeer, od 10-ciu lat jako kompozytor oper chlubnie znany, trzy lata pracował, płacił i siedział w Paryżu, nim przecie (kiedy już za dużo Aubera było) przyszedł do wystawienia furorę paryską robiącego dzieła Robert le Diable. Podług mnie, co się tycze objawienia się w świecie muzykalnym, szczęśliwy ten, co może być kompozytorem i aktorem razem. Znają mnie już, jako pianistę, gdzieniegdzie w Niemczech; niektóre muzykalne gazety wspomniały o moich koncertach, czyniąc nadzieję, że wkrótce mnie zobaczą zajmującego miejsce między pierwszymi mojego instrumentu wirtuozami (co znaczy: disce puer faciam te mościpanie)“. Kiedy Chopin o tych swoich zamiarach powiedział Kalkbrennerowi, powiedział mu tenże, że gdyby trzy lata popracował pod jego kierunkiem, to on zeń zrobi pierwszorzędnego pianistę. Usłyszawszy to Chopin, zdziwił się trochę, uważał bowiem, że trzy lata to zbyt długi termin. Odpowiedział więc, że wie doskonale, ile mu brak do doskonałości. To dało asumpt Kalkbrennerowi, że mu wytłumaczył, jakie braki dostrzega w jego grze, i co potrzeba zrobić, żeby się ich pozbyć. Z rozmowy tej, która mu wiele dała do myślenia, zdał sprawę Chopin w liście do Wojciechowskiego. Oto jego dosłowna relacya: „Od tego czasu (t. j. od owej pierwszej wizyty u Kalkbrennera) codziennie widujemy się, albo on u mnie, albo ja u niego, a poznawszy mię dobrze, zrobił propozycyę, ażeby trzy lata u niego się uczyć, a uczyni ze mnie coś bardzo, bardzo znakomitego. Powiedziałem mu, że wiem, ile mi nie dostaje (lecz ja go nie chcę naśladować i trzy lata za dużo). Tymczasem przekonał mię, że mogę dobrze grać, kiedym natchniony, a źle kiedy nie, co jemu się nigdy nie zdarza. Przypatrzywszy mi się bliżej, powiedział, że nie mam szkoły, że jestem na ślicznej drodze, ale się zderntować mogę; że po jego śmierci, albo jak on grać przestanie, nie będzie reprezentanta wielkiej fortepianowej szkoły; że nie mogę, choćbym chciał, budować nowej szkoły, nie mając starej, słowem, że jestem tylko machiną, a tem samem krępuję bieg myśli moich muzycznych; że mam pewne odrębne piętno w kompozycyi, i szkoda by było, żebym nie został tem, czem być obiecuję, i t. d. i t. d.“

Bezpośrednio po tej rozmowie z Kalkbrennerem, przekonany jego argumentami, choć nie mógł pogodzić się z myślą o tych trzech latach nauki, a sam nie chcąc decydować w tak ważnej sprawie, napisał Chopin list do rodziców, w którym wyłuszczywszy wszystko, jak było, co mu powiedział Kalkbrenner, pytał

o radę, o ich zdanie, a także i o zdanie Elsnera, który najlepiej będzie umiał zadecydować, jak należy postąpić, co zrobić z propozycyą Kalkbrennera, jak na nią reagować? Nie omieszkał dodać, że Kalkbrenner jest człowiekiem „niepospolitym“ pod każdym względem, pełnym „wyższości moralnej“, że mu okazał niezmiernie wiele serdeczności i chęci zaopiekowania się, że mu się sam ofiarował ze swą opieką, że z nim postępuje, nie jak człowiek bogaty i sławny, nie jak król fortepianu, nie jak pierwszy pianista na świecie, nie jak „olbrzym, depczący wszystkich pianistów“, ale poprostu, „jak ojciec, jak brat“, jak najczulszy „opiekun“. Dlatego nie należało wątpić o jego jak najzacniejszych intencyach, podyktowanych jedynie wyjątkową życzliwością dla niego... Że Kalkbrennerem w tym razie nie powoduje żaden interes, tego można być pewnym. Kalkbrenner wcale go nie myśli krępować, daje mu swoją salę koncertową na cały rok, a w ciągu tego roku jeszcze cztery miesiące na podróże. Samo się przez się rozumie, że go się podejmuje uczyć bezinteresownie, za darmo, jedynie z przyjaźni. Wogóle cały list był pełen uwielbienia dla Kalkbrennera. Wprawdzie nie we wszystkiem przyznawał racyę „mistrzowi“; nie zgadzał się z nim n. p. gdy mu z partycyi Koncertu wykreślił jeden pasaż; ale to jest rzecz osobistego zapatrywania. Ostateczna konkluzya, do jakiej Chopin doszedł w tym liście, była ta, że jeśli chodzi o jego zdanie, to on nie ma nic przeciwko braniu lekcyi od Kalkbrennera. Z takiej okazyi należy korzystać. Nikt jeszcze nie wyszedł źle na tem, że się uczył. Nigdy się nie umie za wiele, więc trzeba się uczyć, o ile możności jak najwięcej. To jest jego zdanie. Ale chciałby wiedzieć, co oni myślą o tem? Jak oni zapatrują się na tę sprawę? Co o niej myśli Elsner? Dlatego, nim powźmie jakąkolwiek decyzyę, nim da stanowczą odpowiedź Kalkbrennerowi, chciałby mieć list od swoich, a w tym liście, żeby mu napisali: tak albo nie. Przyznawał, że tak bardziej dlań było upragnionem. Pozatem, cały list, był wesoły, zawierał w sobie „wiele facecyi i nowinek“, słowem, świadczył o nienajgorszym humorze, owszem, był pełen humoru.

List ten, przyszedłszy do Warszawy, odczytany w rodzinie Fryderyka, a niezwłocznie zakomunikowany i Elsnerowi, wywołał zdziwienie, graniczące z oburzeniem. Wszyscy byli przekonani, i Mikołaj Chopin, i siostry Fryderyka, i Elsner, a pewno i Żywny, że tu w grę wchodzi zwykła zazdrość, *jalousie du metier*, że Kalkbrenner, poznawszy się na geniuszu Fryderyka, chce zabić jego oryginalność, chce go podciągnąć pod ogólny strychulec,

a w najlepszym razie zrobić swoim uczniem, żeby nim chwalić się później, żeby jego sławę ściągnąć na siebie, etc. Ani na chwilę nie chciano przypuszczać, że Kalkbrenner mógł być bezinteresownym wobec Fryderyka, a mógł powodować się jedynie życzliwością względem niego, że mu istotnie mogło zależeć na tem, by Chopin przez sumienną pracę pozbył się swoich niektórych niepoprawności, n. p. w palcowaniu. W tem przekonaniu zdecydowano się napisać do Fryderyka, odradzając mu, ażeby nie słuchał przewrotnych rad Kalkbrennera, który tylko czyha na jego, jeżeli nie zgubę, to przynajmniej oryginalność. W tym duchu poszły aż cztery listy do Chopina, ojca, dwóch sióstr i Elsnera, wszystkie pisane tego samego dnia 27. listopada 1831 roku.

Pierwszym był list Mikołaja Chopina, który brzmiał, jak następuje:

Drogie moje dziecko![1])

Z przyjemnością spostrzegłem z treści ostatniego Twego listu, że pobyt w Paryżu będzie dla Ciebie korzystniejszy, niż w Wiedniu, i to niewątpliwie pod wielu względami, gdyż jestem przekonany, że skorzystasz z wielkiej sposobności udoskonalenia się w sztuce, której się oddałeś. Poznanie sławnych artystów, rozmowy z nimi, wykonywanie ich utworów przez nich samych, oraz ich doświadczenie, mogą przynieść wielką korzyść młodemu człowiekowi, który się stara utorować sobie drogę. Przyjaźń, którą Ci okazał p. Kalkbrenner, pochlebna jest dla Ciebie i, jako ojciec, jestem mu za nią jak można najbardziej obowiązany. Ale, mój drogi, nie pojmuję, jak wobec Twych zdolności, które, jak mówi, zauważył, sądzi, że jeszcze trzech lat potrzeba, ażeby pod jego okiem zrobić z Ciebie artystę i nadać Ci szkołę. Nie jestem w stanie zrozumieć tego ostatniego wyrazu, chociaż pytałem o znaczenie onego prawdziwego Twego przyjaciela, Elsnera, i do listu jego Cię odsyłam. Wiesz, że czyniłem wszystko, co odemnie zależało, ażeby popierać Twe

[1]) Jak wszystkie listy Mikołaja Chopina do Fryderyka, tak i ten w oryginale pisany jest po francusku. Tutaj cytuję go w polskim przekładzie Mieczysława Karłowicza, którego cenne Pamiątki po Chopinie są pierwszorzędnem źródłem do biografii twórcy Nokturnów.

zdolności i talent Twój rozwijać, że w niczem Ci się nie sprzeciwiałem; wiesz także, że technika gry mało Ci czasu zabierała i że umysł Twój więcej pracował, niż palce. Jeżeli inni całe dnie spędzali nad fortepianem, Tobie rzadko kiedy godzina zeszła na wykonywaniu cudzych utworów. Zważywszy to wszystko, ów termin trzyletni przechodzi moje pojęcie. Nie chcę Ci się jednak w niczem sprzeciwiać, to tylko powiem, że dogodziłbyś mi, gdybyś z powzięciem postanowienia zaczekał, aż dopóki dobrze się nie zastanowisz, nie nasłuchasz i nie namyślisz. Dopiero co przybyłeś, sam mówisz, że nie możesz jeszcze podnieść głowy i pokazać się takim, jakim się czujesz: zaczekaj więc jeszcze, talent może zaraz od pierwszej chwili zwrócić na siebie uwagę znawców, lecz mogą oni nie dojrzeć na razie jego wysokości, daj im przeto czas lepiej Cię poznać i nie zobowiązuj się do czegoś, coby pochód Twój tylko opóźniło.

Po ojcu zabrała głos młodsza siostra Fryderyka, Izabella. Oto ustęp z jej długiego listu, dotyczący Kalkbrennera:

Mój drogi Fryciu, nie uwierzysz, jak mocne wrażenie na nas list Twój uczynił. Obiedwie z Ludwiką spać nie mogłyśmy z radości. Ale to nasze wyobrażenie silne tego nas nabawiło. Każdy wyraz odczytując kilkakrotnie, zdawałyśmy się widzieć w Twoim opiekunie, który Ci opiekę ofiarował, człowieka niepospolitego; cieszyłyśmy się, że w jego dostaniesz się ręce, ale każda pozorna radość, nieugruntowana na fundamentach, których nic wzruszyć nie zdoła, musi się zwalić; i tak nasza minęła. Te wyrazy: Bratem i ojcem, wyższość moralna, tak mię zajęły, że wyobrazić sobie nie zdołasz. Wystawiłam sobie tego człowieka ojcem Twoim, nie takim, jak Papa, ale takim, który, dając Ci rady, kierowałby przyszłym losem Twoim: widziałam, a raczej rozumiałam, że będzie bratem, będąc na jednym stopniu wykształcenia. Lecz te złudzenia, jakkolwiek mię cieszyły, pozostawiały zawsze wątpliwość, jaką te nieszczęsne trzy lata nasuwały. Taki talent, jak Twój, aby poznać i ocenić, trzeba być wiele wyższym; o różnicy piszesz i ja jej wierzę, ale nie wątpię, że bez trzech lat ją zmazaćbyś potrafił. Lecz co piszę, to nie są żadne przestrogi, bo ja ich nigdy Tobie dawać nie chcę, ale chciałam Ci donieść, jaki wpływ Twój list miał na umysłach naszych.

Najobszerniej wypadł list starszej siostry, Ludwiki, tej, o której wiedziano w domu, że ma największy wpływ na Fryderyka, że jej zdanie najwięcej waży w jego postanowieniach. Ona też, jako literatka potroszę, a więc mająca największą łatwość wypisania się, skreśliła szczegółową relacyę o wszystkiem, co nastąpiło od chwili otrzymania listu Fryderyka, aż do chwili, kiedy po naradach rodzinnych, popartych opinią Elsnera, zasiadła do pisania swego długiego listu, który brzmiał, jak następuje:

Najdroższy Fryciu! Pojmuję bardzo, że dzisiejszy list zrobi Ci niejaką przykrość z powodu odmiennego po części zdania od Twojego, i żal mi Ciebie, że będziesz miał może cokolwiek ambarasu z tego powodu. W chwili, jakeśmy Twój list odebrali, tak nas ucieszył Kalkbrenner, tak byliśmy zadowoleni, że chociaż już było po godzinie dziewiątej, jak się skończyła lektura, coprędzej zabrałam się do pisania i z uniesieniem donosiłam Ci, że nikt z nas nie jest temu przeciwny, że jednozgodnie posyłamy Ci to upragnione *tak* i dziwiłam się nawet, że możesz myśleć, iż Ci się przeciwnie odpisze. Kalkbrenner mnie zachwycił: widziałam w nim już przez imaginacyę człowieka takiego, jakimi, daj Boże, żeby wszyscy byli; widziałam szlachetność, wyższość moralną, słowem byłabym mu (gdyby o mnie szło) cyrograf na siebie napisała, a nawet na Ciebie: Ciebie, mój drogi, nie wahałam się nawet, żeby oddać w ręce. Lecz nazajutrz poszliśmy do poczciwego Elsnera, który nie tylko, że Cię kocha, ale może więcej, jak ktokolwiek, sławy Twojej pragnie i gruntownej wiadomości etc. (może się niedorzecznie wysłowiłam, ale mi to daruj, mój drogi). On tedy po wysłuchaniu listu nie był kontent tak, jak my z propozycyi, krzyknął: „już zazdrość, trzy lata“, kiwał głową, chociaż ja mu gadałam, zdziwiona, że tak zrazu przeciwnego prawie był zdania i wystawiałam zalety Kalkbrennera i zamiłowanie jego do sztuki i kilkakrotnie odczytywałam te wyrazy, że jego żaden interes do tego nie powoduje etc. Nic to wszystko nie pomogło. Krzywił się Elsner i powiedział, że sam do Ciebie napisze z dodatkiem: Fryderyka znam, on dobry, nie ma miłości własnej, małą chęć postępu; łatwo go opanują. Ja napiszę mu, jak ja to rozumiem. Istotnie dziś rano przyniósł list, który Ci posyłam i jeszcze więcej o tem z nami gadał. My, sądząc w prostocie serca o ludziach, nie myślałyśmy, żeby Kalkbrenner był czem innem, jak

najgodniejszym człowiekiem. Elsner zaś niezupełnie tak utrzymuje. I tak dziś gadał: poznali w Fryderyku geniusz i już ich korci, żeby wyższym nad nich nie był, więc trzy lata czasu chcą go w swoim trzymać ręku, aby cokolwiek wstrzymać to, coby sama natura popełnęła. Pani Szymańska o Kalkbrennerze śmiała powiedzieć, que c'est un filout, więc to jest jakaś spekulacya na Fryderyka, mniejsza, żeby ta tylko, żeby go nazwał elewem swoim, ale tam jest taka, która pomimo zamiłowania sztuki krępowanie Twojej genialności ma na celu. Elsner powiada, że on nie rozumie, co to za szkoły on wymaga, a potem dodaje: jeżeli on ma tę szkołę sam, więc bez zapisywania się na trzy lata, jeżeli to się egzekucyi tyczy, Ty to sam pojąć potrafisz i przejąć, jeżeli Ci się podoba. Bo Elsner nie chce, żebyś Ty naśladował i dobrze się wyrażał: wszelkie naśladowanie nie jest to, co oryginalność: skoro będziesz naśladował, nie będziesz oryginalnym, a chociaż młodszy jesteś, Twoje pomysły mogą być lepsze, jak już doświadczonych; masz geniusz wrodzony i Twoje utwory świeższe i lepsze: masz grę Fielda, chociażeś słyszał Żywnego, cóż to dowodzi? A potem p. Elsner nie chce Cię widzieć tylko koncercistą i kompozytorem fortepianowym i egzekutorem sławnym, bo to łatwiejsze i mniej znaczy, jak opery pisać, ale chce Cię widzieć tem, do czego Cię pcha natura i do czego Cię usposobiła. Ty masz przeznaczone miejsce między Rossinim, Mozartem i t. d. Twój geniusz nie ma osiąść na fortepianie i koncertach. Ty z oper masz się unieśmiertelnić. Powiada, że tak ukształcony, jak jesteś, w czem wyżej od wszystkich może w Twoim wieku kiedyś będących, a dziś sławnych autorów, z takim geniuszem powinieneś dążyć tam, gdzie Cię geniusz popędzi, a nie za nikim postępować. Z początku (podobno jak mówił) śmiano się z Mozarta, nie chciano grać jego kompozycyi, tylko poprzedników, a później dopiero ocenili. Wszystko postępuje, nowy geniusz nie może być tem, co stary. Uważaj dobrze, co Ci Elsner pisze, czytaj z uwagą: zdaje się, że ma racyę. On utrzymuje, że to są wszystko frazy, które eblouisują i pomimo szczerości są nieszczere, (Boże, czemuż tacy ludzie się znajdują!) Ty czujesz sam, co dobre, bo słysząc tyle osób grających, umiałeś jednak ocenić wartość każdego: to samo, żeś ocenić umiał, dowodzi wyższość Twoją. Elsner utrzymuje, że tam wielkiej miłości nie ma do sztuki, tylko do siebie i kieszeni: bardzo się to zdaje daleka kalkulacya, ale tak się tłumaczy: czemuż nie chciał Liszt przy-

jąć propozycyi, kiedy taka dobra, Liszt, tak od Ciebie daleki? Czemu sobie innego jakiego nie wynalazł z talentem, któregoby miałby ambicyę postawić na tym stopniu, kiedy się to li egzekucyi tyczy. Ofiaruje Ci salę koncertową swoją, a przez cztery miesiące możesz wojażować, bo wtenczas on koncertów dawać nie będzie, bo to nie pora. Ty niby do tego nie należałbyś, ale sama complaisance kazałaby Ci wywiązać się grzecznością; byłbyś zawsze podrzędnym, wtedy kiedybyś mógł być wyżej od niego i wielu. Powiada także: a gdyby Reicha, (z ktorym dziwi się, żeś się jeszcze nie poznał), także przejęty Twojem dobrem co się tyczy kompozycyi, równie ambicyonował i znów Cię chciał na trzy lata zapisać? Rozgniewała go okropnie ta, jak nazwał, śmiałość i arogancya: podanie ołówka do wykreślenia pasażu, przejrzawszy tylko partycyę, nie słysząc nigdy koncertu w całym efekcie z orkiestrą. Powiada, że gdyby Ci był podał radę, abyś drugi pisząc starał się zrobić krótsze allegro, to co innego; ale z już napisanego kazać wykreślać, tego darować nie może. Porównał to do już wybudowanego domu i kiedy cały skończony stoi, komuś się zdaje, że filar jeden za wiele i przemieniać chcą rzecz, wyjmując go, czyli raczej niszcząc to, co się dobrem nie zdaje. Elsner utrzymuje, że już ten krok jest krokiem do zdegustowania Cię i z daleka dania Ci uczuć, żeś jeszcze niedoskonały. Zaraz dodał: a Kalkbrennera koncerta nie długie? chociaż nie tak zachwycające. Z kimże Cię porównywał? Dawał na przykład Hertza, Liszta, Sowińskiego. Zdaje się, że słusznie Elsner utrzymuje, że aby być wyższym, trzeba nie tylko przejść nauczyciela, ale swoich współczesnych. Można ich naśladować i przejść ich, ale wówczas to będzie postępowanie za nimi, a on koniecznie utrzymuje, że Ty dziś czując, co dobre i lepsze, sam sobie drogę torować powinieneś; Twój geniusz będzie Cię prowadził. Jeszcze co dodał: Fryderyk ma tę oryginalność i ten rytm, czy jak tam, z ziemi rodzinnej, który go tem oryginalniejszym przy wzniosłych myślach czyni i charakteryzuje; chciałby, żeby Ci to zostało. W operach dopiero się to lepiej da uczuć, każdy pozna, kto jesteś, co niemało zrobi Ci zwolenników; szczególniej teraz, kiedy masz tam tyle swoich, więcej niż ktokolwiek możesz zrobić wrażenia muzyką Twoją. Elsner Ci radzi, że jeżeliby kto napisał jaką sztuczkę z czasów, cośmy się nie widzieli, żebyś się zajął pomału robieniem muzyki; żebyś nie odrzucił, jeżeli Ci zaproponuje kto. Elsner pragnie, żebyś był wielbiony z koncertów, ale powiada,

że to nie Twój punkt ostateczny, bo Ty masz geniusz. Opery Twoje, nie tylko fortepianowa muzyka, mają Cię zrobić pierwszym. O mój drogi Fryciu! biednyś Ty, albowiem przewiduję, że będziesz miał wiele nieprzyjemności, jak się zdecydujesz odmówić. Pan Elsner jednak powiada, że zapewne jeszcze napiszesz nam odpowiedź wprzódy. Kalkbrenner czy nie zmniejszył czasu i co to on rozumie przez to piętno europejskiego artysty, tę szkołę, której p. Elsner nie rozumie; bo jeżeli egzekucya, to ją prędzej, jak w trzy lata zrozumiesz i do swej metody zastosujesz. Mój drogi Fryciu, my nie rozumiejąc rzeczy ani tak, ani tak Ci nie radzimy, posyłamy Ci uwagi: nie śpiesz się z odpowiedzią, możesz jeszcze napisać, co myślisz, co Kalkbrenner na list Elsnera powie, (bo on powiada, że go możesz jemu pokazać). Elsner da Ci radę przyjacielską, bo tu idzie o to, aby Ci tamy w biegu Twoim nie położono. Elsner powiada, że gdyby innym sposobem była ta propozycya zrobiona, nie tak prędkoby się na niej było można poznać, ale tak widać łapkę. Nie uwierzysz, jak mnie to boli. Miał racyę ten ktoś od dróg, co to był kiedyś u Ciebie, jakeś wystawiał zazdrość, której będziesz powodem, przyjechawszy do Paryża. Nieprzystanie, lubo w najgrzeczniejszy oddane sposób, zawsze nie będzie miłe i boję się złości: a przystać i lepiej drugim, jak sobie zrobić, jeszcze w takim względzie, to okropnie. Prawda, niema jak się uczyć: tego samego, co i Ty jesteśmy zdania: człowiek nigdy dość nie umie. Uczyć się pod okiem kogoś, co pragnie naszego postępu, ale tu nie każdemu się zdaje, że pragnie Twego postępu. Bo to wszystko fraszki, żeby to odrzucać dla tego, żeby się nie nazywać elewem, żeby się niby wstydzić uczyć; zostawmy głupcom tę źle zrozumianą miłość własną i wstyd. Ani Ty, ani my nie widzimy w nauce retrogradacyi, ale tu w tym przypadku obawia się Elsner, żeby te 3 lata, w którychbyś ogromny mógł zrobić postęp, nie były tamą onego. Nic Ci, mój drogi, nie radzę; niech Tobą instynkt powoduje, sam najlepiej rzecz rozumiesz. Elsner sądzi, że po odczytaniu jego listu może trochę zmienisz Twoje zdanie i chęć. Co się tyczy lat trzech tam pobytu, to nas nie powoduje bynajmniej, żeby Ci zaraz nie napisać *tak*, bośmy i tak przygotowani na to, że Cię prędzej nie zobaczymy. I gdybyś miał się fatygować aż do nas z wizytą, nie chcąc, żebyś tak niemiłej dyliżansowej drogi doznawał, gotowibyśmy na wpół drogi do Ciebie pojechać, aby Cię uściskać. Boże, daj Ci tylko zdrowie i żeby tak szczęśliwe były okoli-

czności, żebyś miał wszystkich przychylnych Tobie. Czemuż ja z Tobą być nie mogę! Nie na wiele cobym się przydała, ale czasem możebym i nie zawadziła.

Berend znalazł, że Twój biust podobniejszy, niż portret, i Barciński, który onegdaj przyjechał, toż samo. P. Hoge, który go przywiózł, ucieszył nas, dając o Tobie zapewnienie, jakeśmy się pytali, co tam robisz, czyś zdrów: „Ej zdrów i Państwo mogą być spokojni, bo on się potrafi znaleść". Dobryś, myślę sobie, albo to jeden na świecie taki dobry. Widzę, żeś w lepszym humorze, ale obawiam się, żeby ten ambaras nie popsuł Ci go znowu, lub zdaje mi się na krótko: bo kiedyś tyle dobrych znalazł znajomych, rozweselić Cię potrafią, lubo ludzie nie zawsze rozweselić mogą: czasem by się chciało być od nich daleko... Bądź zdrów, mój drogi Fryciu! Rób tak, żebyś był kontent, i teraz i potem.

F. Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z młodości Bony Sforzy.

Dzień 26. stycznia 1493 r. dał rodzinie Sforzów. w Medyolanie rzadką sposobność złożenia wspólnych familijnych powinszowań. W wigilię tegoż dnia urodził się Ludwikowi Maryi Sforzy, przezwanemu *il Moro*, z żony Beatryczy d'Este, syn Maksymilian, a Janowi Galeazzowi Sforzy, jego bratankowi, panu Medyolanu, z Izabelli Aragońskiej. urodziła się nazajutrz — córeczka Bona Marya. Młody Jan Galeazzo miał wtedy rok dwudziesty piąty, a jego żona, hiszpanka z Neapolu, dwudziesty trzeci. Byli pobrani od lat czterech: on przystojny blondyn, nie bardzo silnego zdrowia i niezbyt wyrobiony umysłowo, ona, jego bliska kuzynka, rodząca się z Sforzównej, także blondynka, pełna życia i hiszpańskiej ambicyi. Natomiast Ludwika il Moro, wystawiać sobie musimy. jako typowego potomka kondotyerów, dzielnych, śmiałych, wielkiej energii. nie pozbawionej awanturniczości i — bezwzględnych, o głowach silnych i postawie imponującej. Pomimo. że stosunki pomiędzy opiekunem a bratankiem nie były serdeczne, nie można było pominąć wspólnych powinszowań, jakie były w użyciu, owszem nawet położenie było tego rodzaju, że młody Jan Galeazzo Sforza starać się musiał o względy i przychylność stryja.

Bona była trzeciem dzieckiem młodej pary, mieszkającej w medyolańskim Castelsforzesco. Pierwsza urodziła się Hipolita (14. lutego 1490 r.), potem przyszedł na świat syn Franciszek (30. stycznia 1491 r.), wreszcie Bonita, która po babce swojej, Bonie Sabaudzkiej, imię chrzestne otrzymała.

W lunetach jednej z sal odrestaurowanego niedawno zamku Sforzów w Medyolanie, znajdują się freski, przeniesione tam z starego pałacu Cigala, przedstawiające osoby z rodziny Sforzów, pędzla Bernardyna Luiniego, ucznia Leonarda da Vinci, a pomiędzy nimi są także popiersia Jana Galeazza i jego żony Izabelli. Jasnowłosy młody pan Medyolanu, oddanym jest w wysokiej okrągłej czerwonej czapce książęcej, obłożonej futrem gronostajowem, a jego żona, stosownie do zwyczaju z końca piętnastego wieku, tak jak Lukrecya Crinelli Leonarda da Vinci, lub Bianka Sforza na obrazie Ambrożego de Predis, nosi w włosach przepaskę, z klejnocikiem zwieszającym się na czole. Twarz jej nie jest pozbawioną energii.[1]) W samej rzeczy, neapolitańskie aragonki miały dużo temperamentu, przedsiębiorczości, która je stawiała wyżej od przeciętnych księżniczek ówczesnych, po większej części biernych charakterem, jak np. Lukrecya Borgia lub Bianka Sforza, gdy tymczasem Beatrycze Aragońska na Węgrzech, Bona Sforza w Polsce i jej matka w całem swojem życiu wykazują sporo energii, podniecconej przez hiszpańską dumę. Oboje odtworzeni są w pełnym rozkwicie młodości, zanim on zapadł w chorobę, jak utrzymywano wtedy, spowodowaną trucizną, zadaną mu przez stryja, ona jeszcze pogodna, zanim została wdową i doznała rozczarowań i prześladowań losu.

W uczuciu więc radości z urodzin córeczki, *una puta,* jak mówi Gian Galeazzo, donosi opiekunowi swemu:

„Będąc Wielmożność Wasza, dla pokrewieństwa, danego nam przez przyrodę, stryjem (barba) i przez szczególne przywiązanie, jakiem się odznacza, ojcem naszym, zdało się nam, iż jest naszym obowiązkiem i powinnością nie zaniedbać zawiadomienia go obecnym listem, dodając do nadzwyczajnego szczęścia, jakiem napełniło nas urodzenie się syna, Wielmożności Waszej, stryjowi i ojcu naszemu, także i to, jakie się nam nadarzyło. Dzisiaj więc z pomocą Bożą, nasza J. Wielmożna małżonka urodziła córeczkę, która to rzecz szczególną napełniła nas pociechą i radością, z jaką mianowicie zwykli są witać książęta dzieci swoje, z powodu rozradzania się tym sposobem krwi i domu naszego: radość ta podwoiła się jeszcze przez szczęśliwy poród Jaśnie Wielmożnej Naszej małżonki... itd.“

W Medyolanie, 26. stycznia 1493.

(Arch. di Stato. Medyolan).

---

[1]) W Bibliotece Ambrozyańskiej w Medyolanie jest inny portret Izabelli Aragońskiej, pędzla A. Bolbraffio.

Urzędowa forma tegoż listu nie dozwala zapewne odgadywać uczuć, jakie mu towarzyszyły. Położenie stało się przykrem, fałszywem. Kiedy Jan Galeazzo żenił się w r. 1489 *per procura*, tj. przez wysłanie do Neapolu Hermesa Sforzy, brata swego, z Izabellą Aragońską, poczem odbyły się uroczystości ślubne w Medyolanie, kiedy to jednocześnie Alfons książę d'Este zaślubiał Annę Sforza, spodziewano się, że Ludwik il Moro złoży regencyę Medyolanu, powierzoną mu przez Bonę Sabaudzką w roku 1479 i odda rządy księstwa swemu bratankowi. Leonardo da Vinci zajmował się naonczas urządzaniem festynów dla obu par nowożeńców. Ludwik Moro nie spieszył się jednak wcale ze zdaniem władzy, skutkiem czego Izabella widziała się zmuszoną wezwać dziadka swego, Ferdynanda, króla neapolitańskiego i ojca swego Alfonsa, aby go skłonili do oddania księstwa bratankowi.

Ów domowy zatarg sprowadził nieszczęście nie tylko na Izabellę, ale i na Neapol i na całe Włochy, bo Ludwik Sforza przywołał Karola VIII., króla francuskiego, pokazując mu łatwą zdobycz, zagarnięcie królestwa neapolitańskiego. Jego ofiarą stała się także bratowa, Bona Sabaudzka, ta, której Godzinki (książka do modlitwy), ozdobione wspaniałemi miniaturami, niegdyś własność Bianki Sforzy, potem Karola V., znajdują się dziś w Muzeum Brytańskiem. Skarżyła się nań w listach przed córką Bianką, naówczas cesarzową, i następnie schroniła się do Francyi, zkąd wróciła do Piemontu, aby umrzeć w zamku Fassano, w r. 1503.[1])

Nie da się zaprzeczyć, że Ludwik Sforza il Moro, czuł się panem położenia. O jego imponującej postaci daje nam wyobrażenie wspaniały nagrobek u Kartuzów w Pawii, dłuta Krzysztofa Solarego. Książę o silnej inteligentnej głowie leży na nim, obok żony Beatryczy d'Este. Równie wymownym jest portret jego — pędzla Bolbraffio (?), w prywatnym zbiorze markiza Trivulzio w Medyolanie. Na pięknej, wyrazistej twarzy maluje się wiele energii, stanowczości i pewności siebie.

Dążąc do zostania rzeczywistym panem Medyolanu, byłby oddał bratankowi i jego żonie w zamian księstwo Bari i Rottano, jakie na prawie feudalnem, jako lennik, otrzymał od króla Neapolu. Zażegnanie tego ciągłego niebezpieczeństwa, grożącego od

---

[1]) W Britisch Museum znajduje się także, drukowany na pargaminie „Żywot Franciszka Sforzy" z r. 1490, a w Bibliothèque Nationale w Paryżu „Sforziada", (druk z r. 1490).

stryja, było trudnem i niebezpiecznem, wypadało więc głaskać tygrysa. Nawet nie tylko Moro, ale i Beatrycze d'Este stawała się hardą, wyśmiewała Izabellę i żądała pierwszego kroku przed nią... Wszystko to, razem wziąwszy, oddziaływało na ludność księstwa, korzącą się zawsze przed silniejszym.

W dzień urodzin Bony wysłany został z Castelsforzesco list z zawiadomieniem (i to pilny!) do wikaryuszów niedokończonej jeszcze wtedy katedry medyolańskiej, (Arch. civico. Lettere ducali. Vol. II. str. 214), z wezwaniem, aby odprawili przez trzy dni nabożeństwo dziękczynne i suplikacye, tak, jak dotąd było w zwyczaju. Na liście podpisanym jest Bartłomiej Calco, pierwszy sekretarz księcia.

Obaj też, Moro i Jan Sforza, udzielają w kilka dni później amnestyę przestępcom, z powodu urodzin dzieci.

W podobnych razach wysyłano także zawiadomienia do innych książąt włoskich, do zaprzyjaźnionych dworów, gdzie zwykle uwierzytelnionymi byli agenci. Więc otrzymał je Piotr Medyceusz, pan Florencyi, przez Stefana Castiglioni i wyraził osobliwe swoje zadowolenie, otrzymał je Jan Bentivoglio, pan Bolonii (pod zwierzchnictwem papieża), listem Izabelli, która dzieląc się radością i odwołując się do przyjaźni, donosi mu: *„hogi è nata una puta, la quale cosa ad noi è stata di gran piacere"* [1]) i takie zawiadomienie wysłano niewątpliwie do papieża, Aleksandra VI. Borgii, do Ferrary, Mantui i Neapolu.

Dziewczynce dano za guwernantkę Zuzannę Pietrasanta.

Na wiosnę Izabella jedzie z mężem, bez dzieci, do pobliskiego Vigevano, gdzie był zamek Sforzów i do Pawii, gdzie była wspaniała rezydencya, zapewne dla zmiany powietrza i dla zdrowia księcia. Ztamtąd ósmego maja dziękuje Ludwikowi, iż odwiedzał jej dzieci. Bo Moro poszedł był zobaczyć małą dziewczynkę, pisał, że jest pewną życia, tak jak i hrabia. Ów hrabia, mający wtedy lat dwa, jest to Francesco, noszący, jako pierworodny syn Sforzów, tytuł hrabiego Pawii, *comes Papiae,* pod którą to nazwą wspominanym bywa w dokumentach. Więc matka dziękuje mu za wiadomość, poleca się po tysiąc razy i podpisuje się „powolna córka Izabella, księżna Medyolanu". I znowu wydaje się, jak gdyby pożycie było jak najzgodniejszem. Tymczasem ona prosiła już wtedy ojca o pomoc, a Moro wysłał był z swojej strony po-

[1]) „Dzisiaj urodziła się dziewczynka, co nam wielką radość sprawiło".

słów do Francyi, aby przygotować najazd na dawną włoską dzielnicę rodziny Anjou.

Medyolan stanowił wprawdzie lenno cesarstwa niemieckiego, ale bez daniny, tylko cesarz na znak inwestytury, doręczał każdorazowemu księciu uroczyście chorągiew z herbem miasta, mniej więcej w ten sam sposób, jak to się działo w Polsce z Wielkim Mistrzem krzyżackim.

We wrześniu tegoż roku, trzeba już pomyśleć o sukienkach dla małej Bonity, więc pisze znowu do stryja swojego męża z Pawii, d. 13. września 1493 r.:

„Madonna Zuzanna Pietrasanta, która ma nadzór nad moją dziewczynką i inne kobiety powiadają mi, że już czas jest ubrać małą, gdyż z trudnością da się utrzymać w powijakach. Ponieważ i ja jestem tego samego zdania, kazałam sporządzić spis rzeczy, potrzebnych do ubrania jej i posyłam go Waszej Wielmożności, aby go mógł zobaczyć i kazać wysłać, jeśli taka będzie jego wola, i Jemu się też polecam".

Więc i drobiazgi musiały przechodzić przez ręce stryja, faktycznego władcy, z niemałem zapewne upokorzeniem ambicyi naszej neapolitanki, wychowanej w otoczeniu dworackiem, karmiącem pychą dwór królewski. Na to nie było rady: mąż chory, ojciec daleko, a nieprzyjaciel pełen zuchwałości i siły woli, prawdziwy potomek kondotyera. Intrygując u króla francuskiego przeciw rodzinie Izabelli, szuka on jednocześnie poparcia u cesarza Fryderyka III., chce go sobie pozyskać, swatając Biankę Sforzę, siostrę Jana Galeazza, pupila swego, z następcą tronu niemieckiego, wdowcem Maksymilianem, który też w r. 1496 na tron po ojcu wstąpił. Cesarz i syn Maksymilian zżymają się wprawdzie na myśl, iż Karol VIII. wkroczy do Włoch, zwłaszcza dlatego, że cesarz chce wciągnąć Francyę do wojny przeciw Turcyi, ale wkońcu Fryderyk III. oświadcza posłom Ludwika Moro, iż niema nic przeciw wyprawie króla francuskiego na Neapol. W istocie, Sforza obawiał się, iż dziad Izabelli, Ferdynand I., król neapolitański, pociągnie z wojskiem do Medyolanu, a że Piero de Medici, pan Florencyi, był w przyjaźni z nim, więc byłby przepuścił wojska, tak jak prawdopodobnie także papież Aleksander VI.

Aby pozyskać cesarza, Moro nie żałuje pieniędzy z skarbca Sforzów. Księstwo Medyolanu dawało dochodu 600.000 dukatów rocznie, a skarbiec był bardzo bogaty. Taką więc drogą cesarz staje się niejako wspólnikiem nadużyć tego człowieka, jego ambitnych widoków. Ładna, delikatna blondynka, Bianka Sforza (jej

portret znajduje się w Ambrozyanie), została zaślubiona Maksymilianowi d. 30. listopada 1493 w Medyolanie bardzo wspaniale i otrzymała ogromny, jak na owe czasy, posag 400.000 dukatów, kosztowną wyprawę, ale jednocześnie Moro wyrobił sobie inwestyturę księstwa, płacąc za nią 100 tysięcy dukatów, które podszyto pod posag Bianki. Tak to, szafując hojnie z skarbca, zapewniał sobie ewentualną pomoc na wszelki przypadek. Z pomocy tej, nie on wprawdzie, ale jego syn miał korzystać. Bianka urodziła się w r. 1472, miała więc wtedy 21 lat, a umarła w r. 1510, nie zostawiwszy potomstwa. Przedtem, tj. w r. 1487, była obiecaną naturalnemu synowi Macieja Korwina, króla węgierskiego, Janowi, ale ten umarł, zanim ją mógł zaślubić. Podróż Bianki z Medyolanu do Insbruku, do męża, opisał Maciej Bandello w trzydziestej pierwszej noweli. Jednocześnie, druga siostra Jana Galeazza, Anna Sforza, wychodziła za mąż za Herkulesa Estego, księcia Ferrary.

Prawdopodobnie też, zarówno Jan Galeazzo Sforza, jak i jego małżonka, spoglądali teraz z pewną rezygnacyą i z obawą zdrady na szeroką działalność opiekuna. W innych warunkach, gdyby prawowity pan Medyolanu był zdrowy i energiczny, mógł wybuchnąć spisek, a wtedy jeden lub drugi byliby zginęli pod sztyletami sprzysiężonych: wszyscy jednak obawiali się Mora, ciężył on na Medyolanie, przygniatał wzrokiem, tak, że nikt się nie porywał, a on wzbijał się w hardość.

Rok 1494 miał być krytycznym w życiu Izabelli i jej męża.

Tymczasem, nie tylko mała Hipolitka i Bonka, ale i Franciszek, potrzebują sukienek, *robbe*. Więc wśród kłopotów, jakich słabowite zdrowie męża, przebywającego w Pawii, przysparza, należało pomyśleć o trzyletniem hrabiątku. 2. lipca 1494 pisze Izabella nowy list do Ludwika Maryi il Moro, posyłając mu spis rzeczy potrzebnych dla Franciszka i Bony i prosi o pospiech w wysłaniu. Stosunki, niezbędne nawet w tak rozpaczliwem położeniu, mają, zdaje się, tylko charakter urzędowy. Poddać im się trzeba, zwłaszcza że książę zapada na zdrowiu, trzeba stłumić oburzenie i rozpacz i znosić prześladowanie losu. Moro cichaczem już tryumfuje, gdyż musi mieć wiadomości, że król francuski gotuje się do wyprawy wojennej na Neapol, jako prawny spadkobierca dynastyi Anjou, że będzie chciał go odebrać włoskim Aragonom. Jest również drugi jej list, także z Pawii, z 16. lipca, oznajmiający Morowi, iż chce się przenieść do Vigenano, bliżej stolicy:

„Wasza Wielmożność wiesz, od jak dawnego czasu rozkazałeś, aby był przygotowany wyczyszczony pokój na pomieszczenie mojej córeczki Bony, w Zamku w Vigenano, w ten sam sposób, jak pokój Hipolity i nie mniej. Słyszę, że dotąd nic tam nie zrobiono, ani też myślę, że zrobią, jeśli Wasza Wielmożność jeszcze raz nie zarządzisz Widzimy zbliżającą się chwilę powrotu do Vigenano i wiedząc, jak niedbale często takie roboty się prowadzą, zdało mi się, o ile można najrychlej, zwrócić się do Niego i prosić go, aby zechciał rozkazać ponownie, aby ten pokój został urządzony tak, aby, skoro tam pojedziemy, można go było zamieszkać. Bo i hrabia, który już podrósł, potrzebuje także większego mieszkania. I dlatego należałoby wynieść z jego pokoju sztachety, (cameretta de atte), za któremi spał poprzednio. Co gdy się zrobi, pokój będzie chłodniejszy i z korzyścią dla chłopca, który jest delikatnym (nino). Ponieważ nikt o tem może nie pomyślał, chciałam przypomnieć Waszej Wielmożności, aby zechciał rozkazać: aby pokój hrabiego tak urządzono, jak pokój Hipolity i jak pokój Bony“.

Adam Darowski.

(Dokończenie nastąpi)

KRONIKA LITERACKA.

O Cypryanie Norwidzie.

Cezary Jellenta: *Cypryan Norwid*. Szkic syntezy. Literatura i sztuka. Monografie. T. VII. Nakładem księgarni A. Staudacher i Sp. (Maryan Haskler). Stanisławów (1909). — E. Wende i Sp. Warszawa.

...Nie wystarcza zawieszać poetę na niebie między gwiazdami wielkiej naszej plejady i dać mu choćby równy jej blask. Będzie to mogiła złota, ale zawszeć mogiła. Trzeba się strzedz, ażeby z Norwida nie uczynić jednego z owych świętych z trzeciej części Komedyi Boskiej Danta, którzy w niebie swem pędzą żywot świetlanych słupów, obracających się dokoła swej osi. Egzystencya to bardzo efektowna, ale na dłużej bardzo jednostajna, nawet nudna. A przypuszczam, że Norwid uważałby ją za męczeństwo całkiem niepotrzebne i wolałby błądzić śród potomnych, z obliczem chociażby mniej gwiaździstem, lecz za to bardziej wyrazistem. Trzeba mu oddać jego własną niekonstelacyjną duszę, narysować jego duchowy kontur, ująć w ręce indywidualność, wskazać odrębność śród wielkich wieszczów naszych i wskazać to miejsce w Panteonie polskim, na którem powinien stanąć jego posąg. Niczem lepiej, dostojniej, uczcić nie można wielkiego twórcy, jak tem, że się, prócz obrządkowego hymnu i nieuniknionego wieńca z lauru, obdarzy go rozumieniem, przeniknięciem i dotarciem do głębin jego jestestwa."

Te słowa p. Jellenty można uważać za zupełnie słuszne, i do tego dąży krytyka poważna, usiłująca sprawiedliwie ocenić działalność

literacką, tak różnorodną, „zmartwychwstałego“ Norwida. Że do zupełnie ścisłej oceny tej działalności brak jeszcze wielu danych, rzecz jasna. Jeszcze nie wszystkie poezye, utwory i rozprawy Norwida są znane, jeszcze nie wszystkie ważne fakty z jego życia są wyjaśnione, ale w tym kierunku odbywa się praca sumienna za przykładem Miriama, który „wynalazł“ Norwida, że wspomnę o dwutomowem studyum Adama Krechowieckiego, opartem na faktycznym, źródłowym materyale, które wyszło w tych dniach z druku,[1]) że dodam, iż dr. Erzepki z Poznania ma posiadać wielkie bogactwo pozbieranych przez siebie rękopisów Norwida.

Pan Jellenta twierdzi jednak, że na podstawie pism, które mamy w ręku, można „doskonale Norwida poznać i na mniej lub więcej dokładny wizerunek się odważyć“.

Twierdzenie to, zdaniem mem, jest jeszcze za śmiałe i za przedwczesne, co zresztą potwierdza omawiana książka, w której, może mimo woli autora, znajdujemy to tu to tam ustępy dyktowane jedynie entuzyazmem, a skutkiem tego nie zupełnie zgodne z rzeczywistością.

Przypatrzmy się niektórym punktom tej interesującej rozprawki nieco bliżej.

W pierwszym jej rozdziale („Człowiek i ustrój duchowy“) stara się autor określić Norwida pod względem psychicznym.

Symbolem najlepszym do określenia Norwida, są jego własne słowa: „Pójdę, albowiem Muzy mojej jest przydomek sieroctwo“. To sieroctwo uważa p. Jellenta za tragedyę życia Norwida. Pisarz niepospolity, „autor wielu koncepcyj poetyckich i pomysłów estetycznych, i taki wielki wędrowiec po labiryntach starych kultur“, żył w zapomnieniu przez lat sześćdziesiąt dwa, mimo, „że bardzo wieloma nićmi łączył się żywot jego z całym ruchem umysłowym Polski, aż do ostatniego ćwierćwiecza“. Żył niezrozumiany przez współczesnych, niedoceniany, a nawet wyśmiewany.

Przyznając pod niejednym względem słuszność temu wywodowi p. Jellenty, już tu zauważamy pewną przesadę.

Niejeden dziś, podobnie jak i niejeden z współczesnych Norwidowi, uznać musi niezwykłość jego spostrzeżeń, niezwykłość wniosków, wybiegających nieraz daleko w przyszłość, ale każdy bezstronny, nie zahipnotyzowany tem, że Norwid był w pewnej mierze uniwersalistą, co tak imponuje niektórym, przyznać musi, że przyczyną tego „sie-

[1]) „O Cypryanie Norwidzie. Próba charakterystyki. Przyczynki do obrazu życia i prac poety, na podstawie źródeł rękopiśmiennych“. Lwów 1909. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Syna. 1909.

roctwa“ był on sam w znacznej mierze. Przedewszystkiem winien tu rodzaj jego talentu, który streszczał rzeczy, które współcześnie a nawet obecnie nie mogą być popularne, nie są i nie będą nigdy dla ogółu tem, czem jest np. „Pan Tadeusz“, acz mają znaczenie, w niektórych swych punktach nawet doniosłe dla poszczególnych jednostek. Winien temu i język Norwida, mimo swych specyalnych piękności, naszpikowany dziwactwami językowemi, winien temu jego styl zawiły, pełen niedomówień i mglistych określeń, winien temu zresztą i dydaktyzm, który przytłacza i psuje piękno rzeczywiste bardzo wielu jego utworów. A że znów w stosunkach towarzyskich czuł się Norwid może nieraz „osieroconym“, to temu bezwątpienia najwięcej winien on sam, jego usposobienie zamknięte w sobie i jego brak toleracyi dla poglądów sobie niemiłych, o czem świadczą dosadnie dane z jego życia.

Zupełną za to słuszność należy przyznać Jellencie co do zasadniczego tonu drugiego rozdziału p. t. „Poeta ludów i stygmatów“.

„Śpiewając, nieraz obyczaj stary zawadzałem, z wyszczerzonemi na jutrznię zębami“ — powiada Norwid w pewnem miejscu, wyrażając przez to trafnie i zwięzle, (choć wcale nie poetycznie), najrdzenniejsze swoje skłonności i najulubieńszą swoją drogę. Bo i rzeczywiście sądząc po znanych utworach Norwida, tenże „dochodzi do ogarnięcia całej starożytności: od starożytności i klasycyzmu wznosi się do jasnowidzenia drogowskazów przyszłych“. To rozmiłowanie się w dziejach starożytnych narodów, i w następstwie budowanie na podstawie tej znajomości historyozoficznych teoryj, jest rzeczywistą cechą umysłowości Norwida. Rzecz inna, że właśnie to sprowadza Norwida nieraz na manowce, że to szukanie „symbolów kultur i narodów“, często niezwykle śmiałe i oryginalne, czasem znów jest tylko niezwykle — dziwaczne; że to uogólnianie wypadków poszczególnych do jakichś teoryjek historyozoficznych psuje i szpeci nieraz jego utwory, jak np. dość ciężką zresztą nowelę „Stygmat“, której całe zakończenie poświęcone jest sztucznym historyozoficznym wyszukiwaniom „stygmatów“ rozmaitych narodów. Ta właśnie właściwość talentu psuje też w niejednem miejscu wartość odczytów Norwida o Słowackim.

Rozdział trzeci swego studyum poświęca p. Jellenta przeważnie poglądom estetycznym Cypryana Norwida.

Stwierdza on zupełnie słusznie, że „ze strony wyjawienia się w sztuce brał Norwid wszystkie wielkie wydarzenia cywilizacyjne i cały proces dziejowy“ pod uwagę. W każdym narodzie czci Norwid przedewszystkiem zbiorowego twórcę. „Wszystko, — zdaniem Norwida — czem się naród uplastycznił, a więc i to, co wyszło z rąk l u d u i dla użytku c o d z i e n n e g o, jest namaszczone stygmatem sztuki“. I ztąd

pochodzi u Norwida owe zupełnie współczesne, bo wpojone nam przez Witkiewicza i Wyspiańskiego dopiero, znaczenie motywów czysto swojskich, czysto ludowych w architekturze, zdobnictwie i sztuce stosowanej; ztąd też pochodzi u Norwida, w rozumieniu sztuki ludowej, owe doskonałe wniknięcie w muzykę Chopina, jedynego z tych współczesnych sobie geniuszów, którego Norwid uwielbia bez zastrzeżeń i o którym wygłosił to piękne zdanie: „Muza Fryderyka (Chopina) to zaśpiew na sztukę narodową". — A równolegle z temi pojęciami rozwija się zasadnicza idea Norwida, że sztuka jest wysokiem kapłaństwem, które nie jest ani zabawką ani też nauką ale jest „najwyższem z rzemiosł apostoła i najniższą modlitwą anioła". W innem znów miejscu powiada Norwid, że „sztuka poświęcenia zupełnego wymaga i jest jednym z zakonów pracy ludów i pracy ludzkości".

Następnie zaś w rozdziale: „Cisi bohaterowie tragedyi" uzasadnia p. Jellenta, stwierdziwszy poprzednio, że „czysta sztuka nie była nigdy Norwidowi przewodniczką, albowiem zanadto obarczony jest różnemi ideami", wartość jego utworów i jakość bohaterów jego tragedyj. Mimo uwielbienia, jakie ma Norwid dla starożytnych, nie odnajdujemy w jego utworach tonów Ajschylosa, w głębi takiego „Krakusa" nie czają się smoki i potwory, lecz „ścielą się fiołkowe pola rzewności". Jego bohaterowie i bohaterki są to postacie zupełnie różne od spotykanych zwykle w utworach dramatycznych bohaterskich postaci.

Tragedya Wandy (w utworze „Wanda") jest uczucie wiecznej samotności, podobnie i Krakus kryje się w milczeniu i zapomnieniu, i oboje, jeżeli czynią dobrze i poświęcają się, to nie ma w ich działaniu żadnej domieszki egoizmu, postępują tak a nie inaczej, bo im tak czynić wskazuje przekonanie, wobec czego nad obojgiem unosi się „niewysłowiony urok czynu milczącego".

Inna rzecz, że skutkiem tego — zdaniem mem — postacie Krakusa i Wandy zarysowują się blado, że mgła „bezcielesnego liryzmu" osłaniająca je, nie dozwala im w tragedyach wysunąć się na plan pierwszy, lecz przeciwnie oddala je w zamgloną dal.

Ale — twierdzi p. Jellenta — postacie te mają jeszcze inne znaczenie. Ich czyny bezegoistyczne czynią z nich symbole. I Wanda i Krakus są symbolem ludu, który także w sposób niedostrzegalny wyraźnie działalnością swą tworzy przyszłość narodu. Że za to uważał je Norwid, świadczą o tem jego odczyty o Słowackim, a przedewszystkiem rozbiór „Balladyny", gdzie całą swą uwagę zwraca Norwid na Alinę, będącą dlań również symbolem ludu. Nie przecząc wcale, że Norwid w ten sposób dziwny zapatrywał się na Balladynę Słowackiego, nie przecząc, że pogląd ten jest rzeczywiście dziwnie oryginalnym, tru-

dno nie dodać, — zdaniem mojem — że pogląd ten dla poważnej krytyki nie ma najmniejszego znaczenia, że jest zupełnie dowolnym, wmawiającym w Słowąckiego to, czego tenże jako genialny poeta-dramaturg wcale nie miał na myśli, gdy treść pieśni ludowej przetwarzał w utwór dramatyczny. I dlatego, acz twierdzenie, że Alina jest ludem, Balladyna parafiańszczyzną i t. d. dziwi swą niezwykłością, razić musi równocześnie swą niczem nieuzasadnioną dowolnością, podobnie jak dziwić i razić musi nazwanie przez p. Jellentę Norwidowskich odczytów o Juliuszu Słowackim „wielkiem dziełem sztuki“.

Również trudno się zgodzić na wnioski p. Jellenty, zbudowane na podstawie poprzedniego rozdziału, bez uwzględnienia danych biograficznych z życia Norwida, wręcz temu przeczących.

P. Jellenta twierdzi, że stało się nawet „potrzebą i samowiedzą Norwida mówić o czystości swego artyzmu i usuwać wszelkie podejrzenia, że pożąda sławy“ — a nieco dalej twierdzi, że Norwid „wyrzeka się po prostu prawa indywidualności i zgadza się być jedynie śpiewającą nebulozą“.

Otóż słowa te odnieść jedynie można z pewną dozą słuszności tylko do ostatniego okresu życia Norwida, który oderwał niejako Norwida od ziemi i czynił mu życie tylko możliwem w marzeniu i kontemplacyi, ale poprzednie okresy jego życia świadczą dowodnie, że pożądał on silnie, (jak zresztą każdy artysta), sławy i uznania, i bolało go, a nawet zalewało jego duszę niesprawiedliwą goryczą przeświadczenie, że inni, (przedewszystkiem Mickiewicz), blaskiem swej sławy przyćmiewają jego własną indywidualność.

Również nie przemawia mi do przekonania twierdzenie p. Jellenty, zamieszczone przy końcu książeczki, że „Norwid szedł naprzód ku jutru, swymi poglądami i myślami, ale nogi miał nieskończenie spętane mnóstwem różnorodnych c z c i i t r a d y c y j“. Na pierwszą bowiem część zdania można się zgodzić pod pewnemi zastrzeżeniami, Norwid bowiem n i e r a z szedł ku jutru swymi poglądami i myślami — ale druga część zdania jest dla mnie niezrozumiałą hipotezą. Przecież i Kochanowski i Słowacki i Mickiewicz i Krasiński poglądami swymi tkwili „w czci i tradycyi“, mimo to język ich stał się ożywczem źródłem językowem dla przyszłych pokoleń, podczas gdy (zdaniem p. Jellenty), „ten układ duszy znalazł swój wyraz (u Norwida) w formie i języku, nie zawsze kwitnącym i świeżym, w predylekcyi do zwrotów staroświeckich, empirowych, prowincyonalnych“ i t. d.

Mojem zdaniem, niemocy Norwida jako artysty, należy szukać w dziwnym jego ustroju psychicznym, który dozwolił jego duszy rozdzielić się na dwie części, na duszę myśliciela-estety i na duszę poety.

A te dwie władze toczyły z sobą ustawiczną walkę przez całe jego życie, żadna z nich nie odniosła nigdy stanowczego zwycięstwa, lecz zawsze jedna psuła to, co miało być dziełem niepokalanie pięknem drugiej.

Mimo tych uwag jednakże, podyktowanych najszczerszą chęcią, należy z zadowoleniem powitać „szkic syntezy", podjęty przez p. Jellentę. Nie jest on doskonały, bo nim być nie może, ze względu na brak materyału, na którymby się można było oprzeć, razi w niektórych miejscach dowolnością i bezkrytyczną przesadą, ale porusza także momenta ważne, zaobserwowane bystro, i będzie musiał być uwzględniony przez tych, którzy w przyszłości nad postacią Norwida pracować będą.

Adam Stodor.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".